
Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245
Mp
Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze
Nr 6 (153)
Radom
listopad–
–grudzień
2015



Na okładce:
pomnik Wojtka, Edynburg, Szkocja
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
7.11.2015 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 6 (153)
Radom, listopad–grudzień 2015
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:
ANIMA(L)

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

**Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem (prom.mbpradom@op.pl)
nr konta: Bank PEKAO S.A.
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590**

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego"
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

Nie lubię animacji. Już jako dziecko nie lubiłam filmów animowanych. Ach prawda, wtedy były to filmy rysunkowe. Jednak ich nie lubiłam. Wyczuwałam w nich jakiś fałsz. Nie rozumiałam, dlaczego to co nie żyje, może się poruszać. Nawet, kiedy już wiedziałam, jak to działa, i tak nie mogłam zrozumieć ani tym bardziej uwierzyć.

I tak mam do dziś. Sztuka ożywiania tego co martwe nie przekonuje mnie. W miarę rozwoju technik animacyjnych oszustwo staje się coraz bardziej nieoczywiste, wirtual coraz doskonalej naśladuje realną rzeczywistość. A jednak nie mogę zachwycić się tymi osiągnięciami. Raczej mnie przerażają. Boję się, że pewnego ranka, kiedy otworzę oczy, przemówi do mnie stół albo krzesło ucieknie mi spod siedzenia. Drzewa na obrazie Mańczyńskiego zaczną kołysać się od wiatru, strumień z innego obrazu zaleje mi mieszkanie i przemówią do mnie postacie z fotografii. Jedno wielkie, coraz doskonalsze oszustwo.

Tak, świat kształci się i doskonali w oszukiwaniu. Biblijne „nie uwierzę, dopóki nie zobaczę" na nic się dzisiaj zdaje. Wszystko można zobaczyć, wszystko można ożywić. Tylko że wtedy też nie można uwierzyć. Animacja w jakimś sensie równa się manipulacji.

Dlatego nie bawi mnie poszukiwanie anima urbis. Ona jest albo jej nie ma. Szukanie nic nie pomoże. Nie można reanimować trupa. Na jego miejscu może wszak powstać nowe życie. Lubię skupiać się na tym. Obserwować zmiany, analizować je, nawet oceniać, może nawet w nich uczestniczyć (jeśli są tego warte), ale nie dążyć do przywracania do życia czegoś, co obumarło. Umieranie boli. Zawsze. Mniej, bardziej, ale zawsze. Nie ma jednak na to rady. Ale, jak zwykle, są dwa wyjścia – albo akceptuję stan rzeczy, albo unicestwię siebie. I wtedy żadna sztuka animacji, nawet o lata świetlne doskonalsza niż dzisiejsza, nie pomoże. Zresztą skąd pewność, że w ogóle zostanie użyta?

Bolek i Lolek nie muszą się poruszać.

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE STANISŁAWA ZBIGNIEWA KAMIEŃSKIEGO



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część czterdziesta)
O pomnikach niezwyczajnych zwierząt

Stanisław Zbigniew Kamieński

Czas szybko płynie – to banał, którego powtarzanie nie przysparza satysfakcji, nie sprawia radości, a jednak mówimy tak przy wielu okazjach. Dziś owo wytarte stwierdzenie dopada mnie, gdy szukam „Miesięcznika Prowincjonalnego" z nosorożcem na okładce i konstatuję zaskoczony, że pisałem o nosorożcu z Plant bardzo dawno, w pierwszym numerze 2010 r., a był to już kolejny tekst o radomskich pomnikach i rzeźbach w przestrzeni publicznej. Mija właśnie siedem lat od czasu, gdy zacząłem mój cykl, pora wreszcie go zamknąć. Zdaje się, że to, co mam do powiedzenia dziś, będzie tekstem przedostatnim w tej sprawie, niczym przedostatni walc w balladzie Wojciecha Młynarskiego. Wracam do nosorożca, bo chcę napisać tym razem o rzeźbie pomnikowej, której bohaterem jest inne zwierzę, przy okazji spojrzeć po latach na radomskiego reprezentanta owego wątku w rzeźbach towarzyszących ludzkim skupiskom. Trudno wyobrazić sobie naszą egzystencję, od najwcześniejszych lat życia, bez obecności zwierząt i ich różnorodnych przedstawień.

Pomnik, który sprawił, że postanowiłem podjąć ponownie temat zwierząt wyniesionych na pomnikowe piedestały (co prawda w bardzo ograniczonym zakresie), został odsłonięty 7 listopada tego roku w centrum Edynburga w Szkocji. Przedstawia dwóch żołnierzy 2. Korpusu Polskiego armii gen. Władysława Andersa z czasów II wojny światowej, człowieka i niedźwiedzia. Niedźwiedź Wojtek był także żołnierzem, choć może wydawać się to nieprawdopodobne. Aby zaokrętować go na Batorego, który przewoził na początku 1944 r. polskie wojsko z Egiptu do Włoch, trzeba było wciągnąć go do stanu ewidencyjnego 22. Kompanii Transportowej Artylerii. Otrzymał stopień kaprala. Ale nie tylko życiowa konieczność i sentyment skłoniły ludzi do uznania go za towarzysza broni. „Wojtek był – jak pisze Norman Davies – żołnierzem pod wieloma względami idealnym – niestrudzony, lojalny, nieustraszony, milczący. Histo-

ria Polski jest wprawdzie pełna tragicznych epizodów, ale ta budująca opowieść o Wojtku każe się uśmiechnąć. Pomagał on ludziom Andersa znosić wszelkie przeciwności losu i dotrzeć do celu. Wojtek nigdy nie zwątpił, nigdy się nie zawahał, nigdy nie zdezerterował i nigdy nie zawrócił z drogi. A jednak, po tak oddanej służbie w sprawie wolności, trafił, podobnie jak Polska, do klatki"[1]. Komunistyczne władze w kraju pozbawiły generała, który po zakończeniu wojny pozostał na emigracji w Anglii, polskiego obywatelstwa i stopnia wojskowego, dopiero w 1989 r. rząd PRL uchylił tę uchwałę. Nazwisko Andersa było objęte wieloletnim zakazem publikacji. Również środowisko akowskie niechętnie odnosiło się do dowódcy 2. Korpusu, przeciwnemu wzniecenia Powstania Warszawskiego. Anglicy natomiast przez dziesiątki lat nie chcieli dzielić się z Polakami sukcesami aliantów w zwycięstwie nad hitlerowskimi Niemcami. Dokonania i heroizm Polaków walczących na Zachodzie były po obu stronach żelaznej kurtyny skazane na zapomnienie, przemilczenie. Pamięć przetrwała w kręgach Polonii i w rodzinach żołnierzy.

Nie będę opisywał historii Wojtka, licznych anegdot z nim związanych, tych prawdziwych, prawdopodobnych i tych wymyślonych, aby stworzyć obraz barwniejszy i weselszy, budzący życzliwe zainteresowanie i dodający optymizmu walczącym. Opowieści były potrzebne wojsku do przetrwania w tamtych najtrudniejszych czasach, żołnierze mieli prawo fantazjowania. Wszystkiego czy niemal wszystkiego można dowiedzieć się dziś o Wojtku z licznych publikacji prasowych i książkowych, z filmów i internetu. Zachęcam do szperania.

Edynburski pomnik niedźwiedzia, „który uwierzył, że jest człowiekiem"[2], nie jest pierwszym upamiętnieniem wyjątkowego zwierzęcia, a tym sposobem również jego ludzkich towarzyszy, żołnierzy 2. Korpusu Polskiego i innych polskich formacji wojskowych na Zachodzie. W zoo w Edynburgu, dokąd w rezultacie trafił Wojtek po rozwiązaniu polskich sił zbrojnych na Zachodzie, znajduje się, jak podaje internet, tablica pamiątkowa poświęcona niedźwiedziowi, który zmarł tam 2 grudnia 1963 r., przeżywszy 21 lat, w tym 13 w klatce ogrodu zoologicznego. Norman Davies wspomina jednak, że w tamtejszym zoo stoi posąg niedźwiedzia. „Jego wykonanie zamówili i opłacili weterani, z którymi dzielił wojenne losy. Pokazuje on Wojtka na spacerze i młodego żołnierza z trudnością utrzymującego go na smyczy"[3]. Będąc teraz na uroczystości odsłonięcia pomnika w pobliżu Princes Street, nie zdążyłem sprawdzić, która informacja jest bliższa prawdy. Drewniany pomnik Wojtka, który dźwiga artyleryjski pocisk, znajduje się w angielskim miasteczku Grimsby – podaję za internetem, rzeźba niedźwiedzia stoi w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen Władysława Sikorskiego w Londynie. Od niedawna pomniki Wojtka zaczęły powstawać również w Polsce: w 2013 r. odsłonięto je w Żaganiu (autorstwa Stanisława Grzesiowskiego) i w Szymbarku (autorką jest Izyda Szednicka), a w 2014 r. w parku Jordana w Krakowie (autorstwa Wojciecha Batko).

Jednak edynburski pomnik w Princes Street Gardens, w samym środku miasta, jest pod każdym względem wyjątkowy, otrzymał najlepszą z możliwych lokalizację, porównywalną z usytuowaniem pomników narodowych bohaterów Szkocji. Codziennie oglądają go teraz tysiące ludzi przechodzących ruchliwą ulicą, choć sama rzeźba stoi kilkadziesiąt metrów dalej, w miejscu oddzielonym od zgiełku, w scenerii malowniczego parku. Zgoda władz miejskich Edynburga na takie usytuowanie pomnika ujawnia obecne, inne niż przez długie lata, postrzeganie, nie tylko przez Szkotów, ale, jak sądzę, Anglików w ogóle, XX-wiecznej dramatycznej historii Europy i udziału polskich żołnierzy w zmaganiach II wojny światowej. Autorem pomnika jest Alan Beattie Herriot, któremu o losach Wojtka opowiadała autorka książki *Wojtek, The Bear, Polish War Hero*, Aileen Orr. To realistyczne przedstawienie, rzeźbiarz znakomicie uchwycił moment zatrzymania na chwilę ruchu idących przyjaciół, dwóch kaprali – Piotra Prendysza i niedźwiedzia Wojtka, którzy przed demobilizacją odbywali regularne spacery w okolicach Wienfield Park, gdzie przetransportowano część 2. Korpusu. Jeśli dać się ponieść fantazji czy wyobraźni, można odnieść wrażenie, że człowiek i niedźwiedź ruszą niebawem dalej przed siebie. Odlane z brązu postaci, stojące bezpośrednio na ziemi, są o kilkadziesiąt centymetrów większe niż realne istoty, aby sprawiały wrażenie, że są naturalnej wielkości (dla rzeźbiarzy to oczywisty zabieg przy tworzeniu realistycznych rzeźb), przeskalowanie widać dopiero, gdy przy rzeźbie pojawiają się ludzie. Figury Herriota reprezentują świetny tradycyjny warsztat rzeźbiarski, należący dziś niestety do rzadkości. Odczuwam ogromną satysfakcję, że tym razem Wojtkowi udało się, nie mógł chyba wymarzyć sobie lepszego wizerunku własnego, w lepszym miejscu.

Kiedy po wojnie zastanawiano się, co można zrobić z Wojtkiem i dla Wojtka, brano pod uwagę przewiezienie go do zoo w Polsce, jednak do tego nie doszło. Może taki pomysł był zbyt skomplikowanym politycznie i technicznie przedsięwzięciem? A może ci, którzy pozostawali na emigracji, chcieli, by Wojtek pozostał razem z nimi? Niedźwiedź zmarł na obczyźnie, nawet jeśli Edynburg okazał się dla niego gościnny. Po latach polscy inicjatorzy postawienia Wojtkowi pomnika w centrum stolicy Szkocji chcieli, by czuł pod nogami, właściwie pod łapami, polską ziemię. Wojtek i jego opiekun stoją na rozległej granitowej płycie, 12 ton granitu sprowadzone zostało z Polski, kamień pochodzi spod Strzegomia. Granitowa jest także ściana około metrowej wysokości, opasująca z jednej strony przestrzeń pomnika. Umieszczono na niej panoramiczną brązową płaskorzeźbę przedstawiającą, w następujących po sobie scenach, historię Wojtka. Obok, po angielsku i polsku, umieszczono napis: WOJTEK / Pamięci polskich / mężczyzn i kobiet / którzy walczyli / Za Waszą / Wolność i Naszą.

O pomniku Wojtka i terminie jego odsłonięcia usłyszeliśmy na początku września podczas zebrania redakcji „Miesięcznika Prowincjonalnego", w którym gościnnie uczestniczył Czesław Kruk, radomianin mieszkający od prawie 40 lat w Edynburgu, wierny przyjaciel naszego pisma, wspierający je finansowo i podnoszący na duchu pozytywnym nastawieniem do podejmowanych przez nas tematów, zawsze zainteresowany treścią i formą miesięcznika. (Rozmowę z nim przeprowadziła dla MP nr 5/2014 Ilona Michalska-Masiarz). To dzięki jego entuzjazmowi i zaangażowaniu MP jest niemal tak samo znany wśród Szkocko-Polskiego Towarzystwa Kulturalnego w Edynburgu jak wśród mieszkańców Radomia. Aż nie chce się wierzyć, że to możliwe. Wówczas, na wrześniowym zebraniu, pomyślałem i nawet powiedziałem, że może wybrałbym się na uroczystość odsłonięcia pomnika, ale nie bardzo wierzyłem w możliwość realizacji takiego „śmiałego" planu. A jednak znalazłem się tam wieczorem, w przeddzień tego wydarzenia. Czesław czekał na nas na dworcu, zaś następnego dnia w strugach deszczu, w tłumie Polaków pod parasolami, ale i Szkotów, z aparatem fotograficznym, którym w tej sytuacji niewiele mogłem zdziałać, uczestniczyłem we wzruszającej uroczystości. Brali w niej udział burmistrz Edynburga, ambasador Rzeczypospolitej Polski w Wielkiej Brytanii, I Konsul RP w Edynburgu i jego dwaj poprzednicy, minister kultury rządu szkockiego i przedstawiciel polskiego MSZ do spraw współpracy z Polonią, a także tamtejszy arcybiskup Kościoła katolickiego. Wśród odsłaniających pomnik był prof. Wojciech Narębski z Krakowa, jeden z ostatnich żyjących uczestników



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Pomnik Wojtka, Edynburg, Szkocja

całej kampanii włoskiej gen. Andersa, nazywany, w odróżnieniu od niedźwiedzia Wojtka, Małym Wojtkiem, jeden z jego najbliższych przyjaciół.

Wszystko to próbowałem dojrzeć poprzez pręty żeliwnego ogrodzenia Princes Street Gardens, pomiędzy wypukłościami błyszczących od wody parasoli. Parasol Czesława Kruka, czerwony na środku, biały po brzegach, zwracał uwagę w rzece innych wypełniających parkową aleję. Także później, przez całą sobotę i niedzielę, trudno było fotografować pomnik, ciągle tłoczyli się przy nim ludzie, robili sobie zdjęcia na jego tle, cieszyli się, i wciąż napływali nowi – rodziny z dziećmi, grupy znajomych, pary, miejscowi i przyjezdni, starsi i młodzi. Podobno w Edynburgu mieszka dziś około 18 tys. Polaków. Na szyjach niedźwiedzia i żołnierza ktoś zawiesił biało-czerwone szaliki z polskim godłem, ktoś inny umieścił w pysku misia bukiet czerwonych, plastikowych maków. Michał wsadził żołnierzowi do ręki polską chorągiewkę, a na ziemi, w kałużach wody leżały wiązanki kwiatów i czerwony makowy wieniec. Jeszcze dwukrotnie przychodziłem pod pomnik rankiem, licząc, że nie będzie deszczu i o tak wczesnej porze – ludzi. Co prawda i za pierwszym i za drugim razem przeliczyłem się, rzeźby były ciągle mokre, błyszczące od wody i bezustannie pojawiali się, zatrzymywali przechodnie, ale udało mi się w końcu zrobić zdjęcia, jakie chciałem, czy przynajmniej najlepsze, jakie w tamtych warunkach mogłem zrobić, a widok pomnika, ciągle otoczonego ludźmi, po prostu cieszył.

Czy to, co napisałem dotychczas, przekonuje czytelników MP do sensu i potrzeby publikacji takiego tekstu w radomskim piśmie o kulturze? Mam nadzieję, że tak, że interesuje to nie tylko naszych prenumeratorów mieszkających w Szkocji. Sam jestem rodzinnie związany z historią 2. Korpusu Polskiego, mój dziadek ze strony mamy, Romuald Moszoro przeszedł cały szlak bojowy z generałem Andersem. Kiedy przed wyjazdem do Szkocji zacząłem rozmawiać o tym ze znajomymi, okazało się, że nawet w tak wąskim gronie jak redakcja MP znane są podobne przypadki. Jurek Kutkowski opowiadał mi o swoim radomskim znajomym, Marku Waśkiewiczu, którego ciotka wyszła za mąż za Teodora Szawlugo; jego brat Dymitr opiekował się niedźwiedziem Wojtkiem jako żołnierz Andersa. Brat babci Agaty Morgan, Jan Kacprzak, żołnierz 3. Dywizji Strzelców Karpackich, uczestniczył w walkach 2. Korpusu Polskiego we Włoszech. Stryj matki mojej koleżanki z Wydziału Sztuki, Katarzyny Nowickiej-Urbańskiej, Ładysław Elertowicz z Lisowa koło Radomia, przeszedł szlak bojowy z gen. Maczkiem i po wojnie mieszkał aż do śmierci w Szkocji. Zapewne wiele radomskich rodzin zna podobne losy swoich bliskich.

Choć głównym wątkiem tego tekstu jest pomnik, który nie powstałby, jak sądzę, gdyby nie miś i jego zaangażowanie w ludzkie sprawy, odnoszę wrażenie, że moja narracja rozgrywa się, jeśli można tak powiedzieć, raczej po stronie ludzi, a nie zwierząt. Czy zresztą możliwe jest spojrzenie od ich strony? Gotowi jesteśmy myśleć, zapewne nie przerywając często jedzenia mięsa, że zwierzęta trafiają na pomniki tylko dzięki ludziom i w ich towarzystwie. Bez ludzi nic nie znaczą. Nasz egocentryzm nie pozwala inaczej patrzeć na zwierzęta, i to w najlepszym razie, jak na braci mniejszych.

Mężczyźni o przywódczych, władczych osobowościach, wodzowie armii zabierali ze sobą na cokoły konie, doceniając ich szlachetne, wyrafinowane kształty, jak zwykło się uważać, i dodając sobie tym samym powagi oraz wdzięku i wznosząc się na koniach jeszcze wyżej, niż pozwalała na to wielkość podestu. Co prawda wzmożona myśl techniczna XX w. pozbawiła konia strategicznego znaczenia, które tak atrakcyjnie ujawniło się na obrazach zbrojnych szarż i bitew. Konia zastąpił pojazd mechaniczny. W Koszycach na Słowacji natknąłem się na pomnik samego konia odlanego w brązie, bez człowieka, chyba na terenie wydziału weterynarii tamtejszego uniwersytetu, więc nie był to bezinteresowny gest wobec zwierząt.

Nie przychodzą mi w tej chwili do głowy żadne konkretne pomniki ludzi w towarzystwie psów (poza grobowcem w Arundel z wiersza Philipa Larkina), ale domyślam się, że na drugim miejscu po koniu pojawia się na pomnikach pies, najwierniejszy towarzysz człowieka. Myśliwskie psy również mają, w ocenie koneserów, piękne kształty, warte uwiecznienia pod różnymi postaciami, ale nawet nie tak wysublimowane psie rasy i gatunki budzą często ludzką aprobatę i sympatię. Nie tylko wykorzystujemy, ale i kochamy zwierzęta, potrafimy zdobywać się na bezinteresowną miłość do nich, choć niejednokrotnie to one uczą nas prawdziwej miłości, bezgranicznej wierności, wielkiego przywiązania, na które niełatwo zdobyć się człowiekowi. Irytuje mnie zawsze, gdy najniższe, mroczne instynkty ujawniające się w postępowaniu ludzi, określane bywają słowem – zezwierzęcenie. Zwierzęta nie potrafią bronić się przed takimi oszczerstwami.

W tym samym Edynburgu, całkiem blisko świeżego jeszcze pomnika Wojtka, stoi XIX-wieczny niewielki pomnik teriera Bobby'ego, który wsławił się tym, że przez niemal 14 lat po śmierci swojego pana pilnował jego grobu, aż do własnej śmierci w 1872 r. i został pochowany w bramie cmentarza. Pomnik psiej wierności znajduje się również w Krakowie, został odsłonięty w 2001 r. przy nadwiślańskim bulwarze pod Wawelem, w pobliżu mostu Grunwaldzkiego. Jego autorem jest znany krakowski artysta Bronisław Chromy (rocznik 1925), a rzeźba przedstawia psa wyciągającego przednią łapę. Otaczają go, w symbolicznym

geście, duże ludzkie dłonie. Pies na postumencie przypomina psa Dżoka, który stracił swojego pana na przystanku tramwajowym ronda Grunwaldzkiego, jego właściciel miał w tramwaju śmiertelny atak serca, stamtąd zabrała go karetka pogotowia. Pies czekał tam na niego, dokarmiany przez okolicznych mieszkańców, gdy wreszcie, niemal po roku, pozwolił zabrać się kobiecie, która w tym czasie najbardziej zajmowała się nim. Po kilku latach nowa właścicielka zmarła, a Dżok nie chciał pójść do schroniska dla zwierząt, uciekł, tułał się po okolicy i zginął przejechany przez pociąg. Podobnych przypadków, może nie tak spektakularnych, nierozgrywających się na oczach ludzi, jest zapewne niemało. Psia wierność stała się tematem wielu książek i filmów, powstaje też coraz więcej psich pomników na całym świecie, wystarczy wpisać odpowiednie hasło w Google.



fot. Maciej Kamieński

Pomnik Dżoka, Kraków

„W mądrości hinduskiej – pisze Leszek Kołakowski – granica między człowiekiem a innymi stworzeniami nie była nigdy tak ostro zarysowana, a doktryna metempsychozy zakłada, że ta sama dusza może po kolei zamieszkiwać zarówno zwierzęce, jak i ludzkie ciała. Także dla buddyjskiej doktryny sprawa cierpienia i wyzwolenia od niego pozostaje taka sama bez względu na to, kto lub co cierpi. [...] wschodnia idea jedności i świętości wszelkiego życia [...] nie przyjęła się nigdy w głównym nurcie chrześcijaństwa [...]. Święty Franciszek rozmawiający z bratem wilkiem czy św. Antoni Padewski wygłaszający kazanie do ryb morskich w Rimini nie ucieleśniają typowej postawy chrześcijańskiej"[4]. Jednak, sądząc po wypowiedziach i apelach do świata obecnego papieża, nieprzypadkowo wybrał on imię Franciszka na swój pontyfikat.

Nie wiemy, w jaki sposób można zyskać wgląd w psychikę zwierzęcą, duchowość zwierząt pozostaje dla nas tajemnicą. „Ponieważ zwierzęta nie mają takiej pamięci, która pozwoliłaby im utrzymywać tożsamość psychologiczną, jest mało prawdopodobne, zdaniem Lewisa [C.S. Lewis, 1898–1963, angielski pisarz i naukowiec, autor m.in. powieści fantastycznych *Opowieści z Narnii* – przypis mój], żeby Bóg obdarzył je przywilejem Nieśmiertelności, niepodobna bowiem, by ten sam kot zmartwychwstał, skoro nie ma kociej tożsamości w psychologicznym sensie. Niemniej jednak Lewis nie wyklucza, że niektóre zwierzęta domowe dostąpią wieczności nie ze względu na nie same, lecz jako członkowie zmartwychwstałych ludzkich komórek rodzinnych"[5]. Aby rozjaśnić do pewnego stopnia podłoże tej niewiarygodnej teorii, dodam na marginesie, że Lewis jako mały chłopiec domagał się, by nazywano go Jacksie, na pamiątkę ukochanego psa, który zginął pod kołami samochodu. Może jednak spotkamy się w wieczności z Wojtkiem, Bobby'm, Dżokiem i tyloma innymi zwierzętami, które związały swoje życie ze światem ludzi? Ale co w takim razie z dzikimi zwierzętami?

Wracam na radomskie podwórko, gdzie nie ma niestety pomnika żadnego zwierzęcia, chyba że uznamy za taki rzeźbiarskie przedstawienie nosorożca, o którym wspominałem na początku tego tekstu. Rzeźba nie odnosi się do nosorożca konkretnego, nie słyszałem zresztą o przypadku zażyłych więzi pomiędzy nosorożcem a człowiekiem, tak jak to się zdarza podobno wśród słoni, równie potężnych stworzeń. Nie jest realistyczna i w tym sensie nie przedstawia jakiegokolwiek nosorożca, jest może improwizacją na temat tego zwierzęcia? Swoją archaizującą formą budzi skojarzenie z prekolumbijską sztuką Majów i Azteków. Znajoma, mieszkająca jako dziecko i licealistka w bloku, obok którego pojawił się w latach 70. domniemany nosorożec, powiedziała mi, gdy sześć lat temu pisałem pierwszy tekst o nim, i podtrzymuje to podejrzenie do dziś, że w dziwnym stworzeniu rozpoznaje raczej białego jednorożca. Co prawda wyobrażamy sobie jednorożce, jeśli w ogóle nasza wyobraźnia zmierza w te rejony, jako istoty wysmukłe, o sylwetkach pomiędzy koniem a jeleniem, ten zaś egzemplarz jest dziecinnie pulchny. Może to raczej dziecko jednorożca? Przeczucie znajomej nabrało dla mnie tajemniczej wiarygodności po powrocie ze Szkocji, gdzie dowiedziałem się, że jednorożec, właściwie dwa, były figurami heraldycznymi w dawnym szkockim herbie. W połowie lat 70. Czesław Kruk, aktywny dziś uczestnik życia społecznego i kulturalnego Polonii w Edynburgu, osiedlił się w Szkocji, gdy w Radomiu zjawił się niespodziewany kamienny przybysz, w którym znajoma rozpoznała celtyckie, królewskie pochodzenie. Zbytnio dałem ponieść się fantazji? Niewykluczone. Podróże dodają skrzydeł.

Stanisław Zbigniew Kamieński
11–26 listopada 2015

(Endnotes)

[1] Norman Davies, *Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz Przez Trzy Kontynenty*, Wydawnictwo Rosikon Press 2015, wydanie I, s. 469.

[2] Zdanie z fabularyzowanego dokumentu *Wojtek, niedźwiedź, który poszedł na wojnę*, reżyseria Will Hood, Adam Lavis.

[3] Norman Davies, *Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz Przez Trzy Kontynenty*, Wydawnictwo Rosikon Press 2015, wydanie I, s. 466.

[4] Leszek Kołakowski, *Jeśli Boga nie ma..., Horror metaphysicus*, Zysk i S-ka Wydawnictwo 1999, przekład Tadeusz Baszniak, Maciej Panufnik, wydanie II, s. 47–48.

[5] jw., s. 46–47.


fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Z notatnika malarza ikon

Drabina (część XVIII)

Michał Płoski

Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący (1 Kor 13, 1) – pisze św. Paweł w pierwszych słowach swego słynnego hymnu. „Bóg jest miłością" (1J 4, 16) i dla wszystkich szukających Go szczerym sercem miłość winna być światłem wyznaczającym kierunek, ratującym przed błędem, zagubieniem. A jednak często gubimy to światło.

XVIII rozdział *Drabiny raju* traktuje o niewrażliwości. Św. Jan Klimak kreśli w nim sytuację człowieka, który nie jest w stanie odczuwać Bożej miłości i odpowiedzieć na nią. Ta martwica duszy powoduje zagubienie kierunku wiodącego ku Chrystusowi i duchowy zamęt. Pogrążony w nim mnich wie, jak należy postępować, głośno o tym mówi, lecz są to tylko puste deklaracje, niemające pokrycia w rzeczywistej postawie. Oto jak Klimak charakteryzuje osobę dotkniętą znieczulicą: „»Źle czynię!« – woła i chętnie do złego się przykłada. Ustami modli się za siebie, a ciałem walczy przeciwko sobie. O śmierci filozofuje, a żyje tak jak nieśmiertelny. Namawia do umiarkowania, a spiera się o obżarstwo. Czyta o Sądzie i zaczyna się uśmiechać wskutek zarozumialstwa, czyta o próżności i przez samo to czytanie robi się próżny..."[1].

Spersonifikowana przez autora *Drabiny raju* znieczulica mówi o sobie: „Nie mam jednego rodzica, ale jakoś pomieszane i niepewne jest moje poczęcie"[2].

Jedną z przyczyn stanu duchowej martwoty może być doświadczenie skrywania się i oddalenia Boga. Sytuacja taka dobrze jest znana przewodnikom na drodze życia duchowego. Każdy idący drogą wiary doznaje takich kryzysów, sytuacji, w których Bóg wydaje się milczeć, być nieobecnym. Głębokie i długotrwałe stany oschłości, dotykające kontemplatyków, zwane są ciemnymi nocami. Zalecana jest wtedy cierpliwość, oparcie swego wewnętrznego życia nie na uczuciach, które gasną, lecz na woli. W sytuacjach takich istotne jest wsparcie otoczenia i pomoc spowiednika. Klimak wyznaje, że również jego dotyka znieczulica, że pokonuje ją „biczem bojaźni przed Panem i nieustannie smagającą modlitwą"[3]. To droga świętych, których wytrwałość doprowadza do pogłębienia relacji z Bogiem, oczyszczenia i przezwyciężenia ciemności. Jednakże może się zdarzyć, że milczenie Boga, które winno być zaproszeniem do poszukiwania Go, prowadzi do zobojętnienia, postaw indyferentnych lub ateizmu. Zaś u ludzi religijnych owo skrywanie się Boga może być zakrzyczane pobożnym rozgadaniem lub nieprzerwanym powtarzaniem wyuczonych formułek. Ewangeliczną drogę miłości może wówczas zastąpić oparta na treściach religijnych ideologia, obrona swojej pozycji, swego ego i kościelnych instytucji.

Miłość bliźniego posunięta do miłości nieprzyjaciół, pomaganie dotkniętym chorobą czy nieszczęściem, zwyciężanie zła dobrem... – oto ideały wielokrotnie sponiewierane, ale przecież wciąż żyjące w sercach wielu ludzi. Chciałbym tu powrócić do tekstu Leszka Kołakowskiego, omówionego w wiosennym numerze „Miesięcznika Prowincjonalnego" przez Łukasza Prusa[4]. Profesor, w niedokończonej pracy z początku lat 80. XX w., zatytułowanej *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, badał obszar kultury europejskiej, w którym przechowywana jest pamięć, postać i nauki Jezusa. Czytamy o marginalizacji i deprecjacji chrześcijaństwa we współczesnym świecie. L. Kołakowski pisze: „Ci, którzy się odważają – księża czy świeccy – głosić we własnym imieniu przykazania ewangeliczne na temat zachłanności i bogactw, współczucia i miłości, narażają się na kpiny – nie mówi się: »to nieprawda«, lecz raczej »to jest niepoważne, to **śmieszne**« [...]. W wykształconych lub półwykształconych klasach naszych społeczeństw być chrześcijaninem to wstyd – nawet nie dlatego, że chrześcijaństwo nie cieszy się intelektualnym szacunkiem, lecz dlatego, że jest to moralnie śmieszne"[5].

Autor eseju zwraca uwagę, że przesłanie Nauczyciela z Nazaretu leży u podstaw kultury europejskiej, pozostaje jej fundamentalnym składnikiem i może wciąż być ożywczym źródłem, o ile nie jest sprowadzone do samej idei miłości czy też doktryny na tej idei opartej. Istotna jest, tu cytuję profesora Kołakowskiego, „miłość jako fakt, jako rzeczywista energia, którą On przelał na świat i której odbiciem jest ta odrobina, jaką ludzie noszą w sobie – odbiciem słabym, niedoskonałym, zmieszanym ze złem, ale zawsze żywym"[6].

Kołakowski pisał swój esej z pozycji naukowych, analizując zjawiska zachodzące w kulturze, w myśli filozoficznej. Ksiądz Tomaš Halik wypowiada się natomiast z pozycji teologa i kapłana. Możemy odnaleźć zbieżność w wypowiedziach obu myślicieli. Ks. Halik, pochodzący z Czech, ze zateizowanego kraju, napisał następujące słowa: „Jestem przekonany, że »drugim słowem« po »śmierci Boga«, tym powrotem, który według wszystkich Ewangelii rozpoczął się w poranek Wielkanocny i znajduje swoje dopełnienie na końcu czasów, jest odkrycie miłości; miłości w tym radykalnym sensie, jakie temu słowu nadaje Ewangelia: Miłość jest tu rozumiana jako bezwarunkowa i obejmująca wszystko siła łączności z Bogiem i ze wszystkimi ludźmi, nie wyłączając wrogów"[7].

Dalej czytamy: „Ten, kto chce mówić o Bogu, powinien chyba na początku zajrzeć w swoje serce, czy jest w nim wystarczająco

[1] Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 220.
[2] Jak wyżej, s. 221.
[3] Jak wyżej, s. 221.
[4] Łukasz Prus, *Myślenie z wnętrza horroru*, „Miesięcznik Prowincjonalny" nr 2 (149) marzec–kwiecień 2015, s. 10–14.
[5] Leszek Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, tłum. D. Zańko, Kraków 2014, Wydawnictwo ZNAK, s. 24.
[6] Jak wyżej, s. 106.
[7] Ks. Tomaš Halik, *Miłość – ołtarz nieznanego Boga*, tłum. J. Płoska, „Style i Charaktery" nr 2/2015, s. 104–105.

dużo miłości – lub przynajmniej tęsknoty za miłością, gotowości, by uczyć się kochać"[8].

Myślę, że powyższe słowa dotyczą również tej szczególnej wypowiedzi o Bogu, jaką jest ikona. Tworzenie jej łączono z modlitwą, ze zwróceniem się ku światłu Bożej miłości. Wręcz nie powinno się przystępować do pracy w stanie wewnętrznego zamętu, grzechu.

Powstaje pytanie, jak radzić sobie z oschłością, zobojętnieniem, z odczuciem nieobecności Boga. Ks. Halik zaleca postawienie w głębi serca pytania, czy pragniemy, aby Bóg istniał, aby istniała miłość silniejsza od śmierci. Czeski teolog pisze: „[...] pytanie, czy człowiek chce w swoim jestestwie i z głębi swojego serca, aby Bóg istniał, może zostać postawione zarówno tym, którzy sądzą, że Boga nie ma, jak i tym, którzy myślą, że On istnieje; a naturalnie również tym, którzy wiedzą, że tego nie wiedzą. Przekonanie pochodzi z samego tylko rozumu, przyzwolenie – przeciwnie, wytryska z największej głębi, z podstawy bytu, z tego centrum subtelności (l'esprit de finesse), które Pascal nazwał sercem"[9].

Czasem pozostaje w nas tylko tęsknota za niekończącą się miłością, a to już jest bardzo wiele. Jan Paweł II, nadając św. Teresie od Dzieciątka Jezus tytuł doktora kościoła, uczynił z niej niejako oficjalną nauczycielkę dla współczesnych ludzi ogarniętych zwątpieniem, niewiarą. Jedna z sióstr z karmelu w Lisieux, towarzysząca ciężko chorej Teresie, przekazała jej słowa: „Gdyby siostra wiedziała, jak dobrze mi robi ta rozmowa [...]. Nie wierzę w życie wieczne, wydaje mi się, że po tym śmiertelnym życiu nie ma już nic. Trudno wyrazić ciemności, w jakich żyję [...]. Wszystko dla mnie znikło i [...] pozostaje mi tylko miłość"[10].

Michał Płoski

[8] Jak wyżej, s. 107.

[9] Jak wyżej, s. 108.

[10] Cyt. za: ks. Andrzej Muszala, *Wybieram wszystko. Życie duchowe według Teresy Martin*, Kraków 2015, Fundacja Pustelnia.pl, s. 92.

Człowiek na wahadle nowoczesności

Łukasz Prus

Wzlot i upadek człowieka nowoczesnego Jacka Dobrowolskiego to ponadstustronicowy esej, praca wyróżniona w drugiej edycji Konkursu o Nagrodę im. Barbary Skargi. Konkurs ten w środowisku filozoficznym jest wydarzeniem wielkiej wagi, w jury zasiadają wybitni polscy filozofowie z różnych ośrodków naukowych. Jego ranga porównywalna jest do tej, jaka w dziedzinie literatury przysługuje Nagrodzie NIKE, Paszportowi „Polityki" czy Nagrodzie Kościeliskich. Esej Dobrowolskiego został jednak tylko wyróżniony, jury nie przyznało autorowi tytułu laureata nagrody – w ogóle tym razem tego tytułu nie przyznało – jak było w przypadku pierwszej edycji, kiedy nagrodzony został prof. Marcin Poręba za pracę pt. „Granice względności. Opis metafizyczny". W uzasadnieniu werdyktu jury tłumaczyło decyzję tym, że nagroda powinna być przyznawana za pracę, która byłaby „śmiałą i oryginalną próbą wyznaczenia nowych dróg w myśleniu, nieznanych dotąd sposobów formułowania pytań i problemów, niestandardowej refleksji nad konkursowym pytaniem".

Bo przed każdym konkursem kapituła stawia autorom ubiegającym się o nagrodę konkretne pytanie. „Czy nauka i technika potrafią sprostać starożytnemu wezwaniu: Poznaj samego siebie?" – tak brzmiało to, na które w swoim eseju usiłował odpowiedzieć Dobrowolski. Jeżeli jednak jury nie uznało pracy Dobrowolskiego za wybitną, nie oznacza to, że książki tej nie warto czytać; może nawet dlatego, że wybitna pod względem filozoficznym nie jest, zyska sobie czytelników i ich sympatię. Sądzę bowiem, że właśnie filozofii – w sensie ścisłym, technicznym – zabrakło we *Wzlocie i upadku człowieka nowoczesnego*. Filozofia akademicka ustąpiła w nim miejsca literaturze, publicystyce, grotesce czasami, może pamfletowi na naszą nowoczesność. Tak, bo tekst Dobrowolskiego, choć wokół filozofii krąży, przez filozofię czytelnika prowadzi, przekuwając najważniejsze wątki filozoficzne nowoczesności w dynamiczną, płynną narrację, to jednak nie jest dziełem elitarnym, lecz egalitarnym. I to jest jego ogromna zaleta, nie do przecenienia dla filozofii; nikt bowiem nie oddaje tej dziedzinie takiej przysługi, jak filozof potrafiący rozmawiać z człowiekiem, który nie poświęcił połowy życia na studiowanie Platona, Kartezjusza czy Heideggera.

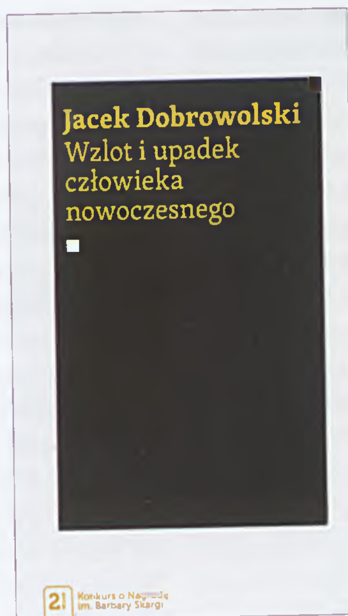
Wzlot i upadek człowieka nowoczesnego to rodzaj szkicu antropologicznego. Jego kolejne wątki rozwijają się wokół konkursowego pytania. Kompozycja tekstu zakreśla szeroki horyzont nowoczesności w europejskiej kulturze: od Kartezjusza właśnie do Nietzschego, Freuda, Musila czy Butler. Jest esej Dobrowolskiego w dużej mierze – i tak czytać można ten tekst – opowieścią o dramatycznych perypetiach ludzkiej podmiotowości w epoce nowożytnej. Epoce, która rozpoczęła się huraoptymizmem antropocentrycznego humanizmu wyrażonego najdosadniej *Mową o godności człowieka* Pico della Mirandoli, a skończyła dekonstrukcją i dekompozycją idei i wartości, egzystencjalnym nihilizmem, nie dekadencją, nie katastrofą nawet – choć przez katastrofę przeszła – czy nirwaniczną rezygnacją, ale po prostu bezwarunkową kapitulacją. Bo tak właśnie skończył się nowożytny świat, mówi Dobrowolski za Thomasem Stearnsem Eliotem, „nie hukiem, ale skomleniem".

Godność człowieka – przyrodzona, naturalna, ziemska, nie z Bożego nadania – ta narracja założycielska nowożytności – pisze Dobrowolski – degenerowała się w toku historii z każdym kolejnym wiekiem. Jednakże mogła ona zostać sformułowana tylko na gruzach dawnego, scholastyczno-heliocentrycznego światopoglądu, który po przewrocie kopernikańskim trafił do lamusa. Nie był on zresztą – ten pierwszy – perspektywą aż tak znowu niewygodną: „Przewrót kopernikański był na pierwszy rzut oka niekorzystny, a może wręcz poniżający dla człowieka, bowiem wytrącał go z dość przytulnego i wyróżnionego miejsca »pośrodku stworzenia«, gdzie wcześniej znajdowała się Ziemia i wyróżniony pośród bytów potomek Adama i Ewy, zarządca, administrator rzeczy stworzonych i ich statycznego porządku. Zamieszkując owo centrum wszechświata, człowiek mógł nawet zafundować sobie objazdową wycieczkę krajoznawczą obejmującą wszystkie główne rejony metafizyczne, jak zrobił to Dante [...]. Przedkopernikańska wizja geocentryczna ma swoje powaby i kusi antropocentrycznymi promocjami oraz częstymi wyprzedażami produktów luksusowych – każdemu może więc przysługiwać jakaś gwiazda, każdy za niewygórowaną cenę posłuszeństwa może znaleźć swoje własne, gwarantowane miejsce w niebie itd.", pisze Dobrowolski. Słowem: jak u Pana Boga za piecem – tak człowiekowi było przed Kopernikiem.

Ale jego przewrót nie dotyczył tylko kosmologii; był on też, w swych konsekwencjach, rewolucją antropologiczną. Człowiek, porzucony przez transcendencję, wygnany, poniżony przez nieskończoność kosmosu i świado-

mość absurdalnego dryfowania przez nicość na bąblu bytu zwanym Ziemią – nie wiadomo, dlaczego i po co, skandal! – zaczyna szukać oparcia, źródła godności w sobie samym. I jak na zawołanie zjawia się Kartezjusz ze swoim bon motem. Dzieje ludzkiej podmiotowości wkraczają w nowy etap. Podmiot kartezjański jest niekwestionowalny, nic nie jest tak pewne jak jego istnienie (choć idea Boga gdzieś w głębi kartezjańskiego *cogito* jeszcze majaczy). Wczesna nowoczesność, pisze Dobrowolski, to okres tryumfu pewności człowieka, który przyswaja sobie te kompetencje, które przed Kopernikiem i Kartezjuszem przynależały Bogu i tylko Bogu. Rozpoczyna się technologiczna robinsonada. A postać Robinsona Crusoe, zdaniem Dobrowolskiego, jest doskonałą ilustracją tego, jak człowiek postrzegał swą podmiotowość już za progiem nowoczesności.

Dobrowolski w swoim eseju omawia kolejne wątki nowoczesności, prowadząc czytelnika drogą po równi pochyłej. Autor pokazuje, jak heroiczny, nieustraszony Robinson degeneruje się w podmiotowość kompletnie już rozmytą, pustą, jak przebojowy self made man staje się Musilowskim „Człowiekiem bez właściwości". Bo dzieje nowoczesności to dzieje stopniowego wycofywania się ludzkiej podmiotowości z samej siebie. O ile u Kartezjusza podmiot ludzki jest, istnieje substancjalnie i samoistnie, o tyle u kolejnych myślicieli podmiotowość ta rozpada się, w końcu jej egzystencja przestaje być samoistna, a zaczyna być czymś wtórnym, czymś, co jest tylko konstruowane: przez historię, przez społeczeństwo, przez strukturę. Człowiek jest „w swojej rzeczywistości całokształtem stosunków społecznych", pisze Marks w słynnych *Tezach o Feuerbachu*. A taki podmiot, który jest tylko konstruktem, w istocie – w swej immanencji – jest bytem pustym, „bez właściwości" właśnie. Stąd tak dynamiczny rozwój inżynierii społecznej w XX w.



I dużo miejsca w tekście poświęca autor Nietzschemu, temu prorokowi już postmodernizmu. Nawet w samym stylu pisarskim Nietzschego, zauważa Dobrowolski, stylu aforystycznym, rwanym, wielowątkowym, odbija się dekompozycja podmiotowości, relatywność, przewartościowanie realizujące się nawet w relacji autor–tekst. Bo czy los autora *Ecce homo* nie był figurą wieku XX? Głosił Nietzsche pochwałę mocy, potęgi, witalności, a ostatnie chwile zanikającej świadomości spędził, błąkając się na skraju szaleństwa po włoskich górach, żeby na dobre postradać zmysły. Z kolei po Nietzschem na scenę wkroczy Freud ze swoją teorią tellurycznych mocy tętniących w podświadomości, które stare kartezjańskie *ego* uczynią tylko znerwicowaną, neurotyczną fasadą (warto zauważyć, że o bestii zawsze czyhającej gdzieś we wnętrzu człowieka wiedział już Platon; być może właśnie dlatego – żeby tę bestię okiełznać, spętać – potrzebne mu było totalitarne państwo idealne). A po drodze był przecież Marks, którego projekt realizacji oświeceniowej *égalité*, czyli powszechnej emancypacji, upodmiotowienia każdej jednostki, ziścił się w formie horroru.

Szkicuje też Dobrowolski – pośród innych, nie mniej interesujących wątków – charakterystyczną dla nowoczesności pochwałę zwierzęcości człowieka, swoistą zoodyceę. To też dziedzictwo kopernikańskiego przewrotu, ewolucjonizmu Darwina, woli mocy Nietzschego, energii libidalnej Freuda. Bo kiedy Bóg umarł w wieku XIX, a człowiek w wieku następnym, co innego zostaje, jeśli nie strzępy dawnej podmiotowości? To, co zwierzęce, okazuje się tym, co radykalnie – korzeniowo – ludzkie. Bo już tylko zwierzęca bio-podmiotowość, której epifenomenem jest ludzka świadomość – formatowana zresztą przez mass media, kulturę, politykę, ekonomię itd. – jest tym, od czego dzisiaj zaczynałby współczesny Kartezjusz. Myślenie bowiem – to mityczne *cogito* – wyparowało gdzieś w technosferę, w cyfrową chmurę, w sieć, która – może tam właśnie konstruuje się nowa podmiotowość? – myśli za nas już prawie na każdym kroku, bo na każdym kroku współczesny człowiek musi klikać, i żeby klikać, musi się zgadzać na korzystanie z plików cookies, które z czasem zaczynają o nim wiedzieć więcej niż on sam.

Esej Dobrowolskiego to błyskotliwa, momentami zaskakująca i tragikomiczna w skojarzeniach opowieść o transformacji podmiotu – o jego konstytucji i dekonstrukcji – w epoce nowoczesnej. To opowieść pesymistyczna, cierpka, ilustrująca jak doskonała harmonia z dzieł Fidiasza przeradza się w makabryczną wizję z obrazów Beksińskiego. Bowiem dramatyczny rozpad podmiotowości zobaczy ten, kto w naszych czasach ponowoczesnych spróbuje wypełnić nakaz delfickiej wyroczni – sugeruje autor *Wzlotu i upadku człowieka nowoczesnego*. Bo w obliczu śmierci podmiotowości, pisze Dobrowolski, jeżeli cokolwiek można sensownie powiedzieć o życiu, to tyle, iż jest ono beznadziejnym odwlekaniem nieuchronnego końca. Wszystko inne to tylko narracje, w które zresztą już prawie nikt na serio nie wierzy.

Łukasz Prus

Jacek Dobrowolski, *Wzlot i upadek człowieka nowoczesnego*, Fundacja na Rzecz Myślenia im. Barbary Skargi – Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2015.

Frenk znaczy obcy

Anna Spólna

1.

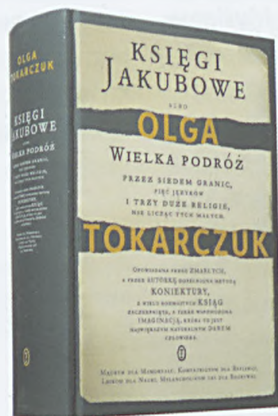
„To jest jasne. A jasne, bo wydobyte spod tych wszystkich bajań i przypowieści, spod tego krętactwa, omiecione z kurzu słów" – mówi Jakub Lejbowicz Frank o swojej nauce (s. 304). W powieści Olgi Tokarczuk symbolika światła jest istotna nie tylko ze względu na jej znaczenie w mistyce żydowskiej (Zohar to „księga blasku"). Judaistyczne studia nad Pismem oznaczają jego niekończące się objaśnianie. Dopiero oczekiwany (i rozpoznawany w osobach kolejnych przywódców religijnych) Mesjasz raz na zawsze rozwieje wszystkie wątpliwości: gdy nareszcie nadejdzie, „Będzie wszędzie jasno od blasku Szechiny" (s. 753). Wierni widzą poświatę nad głową Franka, a on dostrzega ją nad wybranymi. Pisarka nie pozwala nam zapomnieć, że rzecz cała dzieje się w XVIII w., choć większość frankistów nie ma pojęcia, czym jest europejskie oświecenie. Opowieść o nich zapisana jest karnymi rządkami elektronicznych liter w „jasnej płaskiej plamie światła" obserwowanej spoza świata przez Jentę, strażniczkę tej historii (s. 24).

Jednocześnie improwizowana nauka Żyda z Korolówki, który dla jednych był mistrzem i świętym, dla innych hochsztaplerem i gor-

szycielem, ukazana jest w *Księgach Jakubowych* w gąszczu niedomówień, kłamstw i tajemnic. Według Franka ukryte jest jawne, a jawne ukryte; prawda nie ma nic wspólnego z logiką, stałość poglądów ogranicza rozwój duchowy, zaś zmysły stanowią zasłonę poznania. Uwięzionemu w klasztorze ojców paulinów „Jaśnieje czarna twarz Panny Jasnogórskiej, Szechiny". Na pytanie, jak to możliwe, odpowie, jak zawsze pokrętnie: „Jak ty tego nie wiesz, to nic nie wiesz" (s. 304).

2.

Świadomy swojego wybrańtwa, Jakub przybiera nowe nazwisko: „Frank, frenk znaczy obcy" (s. 732), które tak dobrze pasuje do odszczepieńca, heretyka, reformatora. Znajduje w nim siłę, aby wszędzie być gościem, mieć swoją tajemną historię, pielęgnować wolność. Żeby mówić „nie".



Jak to możliwe, że znikąd pojawia się charyzmatyczny przywódca i porywa tłumy? Wierni spijają słowa z jego ust, wykonują niezrozumiałe polecenia, łamią odwieczne zakazy i nakazy religijne oraz tabu obyczajowe? Nawet najbardziej niechętni frankistom muszą uznać, że „oni tego Jakuba k o c h a j ą, że połączeni są z tym odpychającym przechrztą jakąś więzią tajemniczą i ślepą" (s. 349). Tokarczuk próbuje pokazać, że odpowiedzi jest wiele, właściwie – zbyt wiele. Jako rasowa powieść historyczna jej książka wskazuje na powiązane ze sobą mechanizmy polityczne, społeczne, religijne. Autorka eksponuje to potrzebę wolności, to szemrane interesy poplecznikóww reformatora. Sporo pisze o jego magnetycznej osobowości i erotycznej fascynacji, którą budził.

Wątki obyczajowe (biseksualizm, kazirodztwo, promiskuityzm uprawiane w kręgu Franka) wiąże z dominacją mężczyzn w tym środowisku i – dość naiwnie – przeplata z przewidywalną, niestety, narracją feministyczną. W *Księgach Jakubowych* kobiety są silne, inteligentne i wrażliwe, ale cenione ze względu na swoją piękność (jak córka domniemanego „Mesjasza" Ewa, stręczona cesarzowi) lub podporządkowane płodności, której nie potrafią kontrolować (jak Gitla i tyle innych). Jest jeszcze droga zastrzeżona dla nielicznych – to świętość. Chaja Szor z Rohatyna prorokuje, przez co zdobywa szacunek społeczności i, jak sugeruje narrator, chroni się przed nadwrażliwością „w ciemnościach rozumu, w jego cieniach i mgłach" (s. 134). To kobiety przechowują pamięć o jaskini, która uratuje życie pięciu żydowskim rodzinom w czasie Zagłady. Jenta, zatrzymana zaklęciem między życiem i śmiercią babka Jakuba, patronuje powieści jako świadek koronny przemijania ludzkich spraw, zanim zniknie w ciemności.

3.

Tokarczuk przez ponad sześć lat pisała potężne dzieło, a dziewięćsetstronicową całość uporządkowała na różne sposoby. Podzieliła na księgi mgły, piasku, drogi, komety, metalu i siarki, dalekiego kraju, imion; odwróciła numerację, by czytanie kojarzyło się z ubywaniem powieściowego świata; nadała rozdziałom intrygujące tytuły; zadbała o wyraziste nawiązania do *Nowych Aten* Benedykta Chmielowskiego – encyklopedii, która miała pomieścić wszystko. Ryciny ze zbiorów Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu wzmacniają wrażenie obcowania z kroniką dawno minionych zdarzeń.

Może jednak totalny zamysł zaszkodził książce. Przyznaję, będzie frapującą lekturą dla miłośników niezakłamanej historii Rzeczpospolitej: pokazuje różnice między jej zmityzowanym obrazem a skomplikowaną rzeczywistością kraju wielu języków, narodów, wyznań, klas. Jest też książką dla cierpliwych szperaczy, magazynujących w pamięci katalogi nazw geograficznych, dziesiątki nazwisk, setki imion. Drobiazgowość i, jednak, emocjonalny chłód kronikarskiej relacji zostawia wprawdzie miejsce na podziw dla benedyktyńskiej pracy Tokarczuk, ale już nie na zachwyt.

Rzecz w tym, że pisarka przewidziała podobne wątpliwości. Włożyła je w usta Elżbiety Drużbackiej, nieco zapomnianej barokowej poetki, która pisze do encyklopedysty: „[...] mam wrażenie, że radzisz się umarłych. Bo te księgi cytowane i kompilowane to jakby grzebanie po grobowcach" (s. 563). Po czym przesyła mu jako antidotum swoją „dzierganinę" – tomik wierszy, przekonana, że literatura „jest doskonałością form nieprecyzyjnych..." (s. 562).

Anna Spólna

Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc tych małych. Opowiadana przez zmarłych, a przez autorkę dopełniona metodą koniektury, z wielu rozmaitych ksiąg zaczerpnięta, a także wspomożona imaginacją, która to jest największym naturalnym darem człowieka. Mądrym dla Memoryału, Kompatriotom dla Refleksji, Laikom dla Nauki, Melancholikom zaś dla Rozrywki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

Batik – zapomniana technika

Lidia Ziemińska

Rzadko mamy w Radomiu okazję oglądania wystaw tkaniny artystycznej, dlatego z prawdziwą przyjemnością obejrzałam w „Łaźni" prace wykonane przez studentki Wydziału Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu w pracowni prof. Małgorzaty Strzelec. Były to prace licencjackie i magisterskie.

Batik to trochę zapomniana dekoracyjna technika, która służyła farbowaniu i zdobieniu tkanin. Obecnie przeżywa swój renesans. Wywodzi się z Indonezji, najpiękniejsze tkaniny w tej technice powstały na wyspie Jawa. Wykonywano je przeważnie na płótnach bawełnianych, zaprawionych przed farbowaniem ałunem, aby wosk lepiej trzymał się tkaniny a barwniki farbiarskie lepiej wnikały w materiał. Rysunek na tkaninie wykonywano rozgrzanym woskiem przy użyciu narzędzia zwanego cantingiem. Jest to drewniany trzonek z metalowym okrągłym pojemniczkiem zakończonym cienką jak igła rurką, z której wypływa podgrzany wosk. Wosk można też nakładać szpatułką lub pędzlem, w zależności od potrzeby.

Każdy z mistrzów batiku miał własną recepturę nakładanej mikstury: mieszaniny wosku pszczelego, parafiny, tłuszczów zwierzęcych i żywicy. Po nałożeniu pierwszej warstwy woskowego rysunku tkaninę zanurzano w kąpieli barwiącej. Stosowano do tego celu barwniki naturalne. Delikatne żółcie, beże i jasne brązy pozyskiwano z drzewa soga, intensywne błękity z liści indygo, a ciemną czerwień z morwy indyjskiej. Do dzisiaj są one stosowane w Indonezji, choć równą popularnością cieszą się barwniki syntetyczne wynalezione



fot. Lidia Ziemińska

Praca Moniki Mieszczakowskiej

w połowie XIX w., dzięki którym rozszerzono skalę barwną używanych gam kolorystycznych. Przy wykonywaniu batiku stosuje się zasadę, że kąpiele barwne rozpoczyna się od najjaśniejszych tonów: żółci, beżów poprzez pomarańcze aż do ciemnej czerwieni lub granatu. Rozpuszczony w kąpieli wodnej barwnik wnika w materiał, omijając wzory pokryte woskiem. Pozostają one białe. Następnie po wysuszeniu materiału nakłada się kolejną warstwę wosku, jeśli pierwsza kąpiel była żółta, to wykonany teraz rysunek też będzie żółty, ponieważ wosk zakryje ten kolor materiału, następnie zanurzamy materiał w kąpieli pomarańczowej, suszymy i pokrywamy woskiem, a na koniec stosujemy kąpiel w czerwieni. Po całym procesie barwienia zanurzamy materiał we wrzątku, wówczas wosk odkleja się od tkaniny pod wpływem wysokiej temperatury i odsłania kolory pod spodem. Na koniec przeprasowujemy materiał przez biały papier, aby pozbyć się resztek wosku.

Technika batikowania jest czasochłonna, ale jej efekty są bardzo piękne. Czasami wosk pęka podczas farbowania, a w miejsca ukruszonego wosku dostaje się barwnik, tworząc siateczkę spękań – charakterystyczną dla tej techniki swoistą krakelurę.

Batik można stosować jako technikę dekoracyjną na podłożu z materiału, drewna, skorupek jaj (pisanki).

Z czasem, w wieku XIX, kiedy Holendrzy rozpowszechnili tkaniny batikowe w Europie, wykonywany ręcznie pracochłonny batik został zastąpiony przez stemple, dzięki którym odciskano wzór woskiem szybciej i można było wyprodukować więcej tkanin. W Polsce batik rozpowszechnił się w latach międzywojnia za przyczyną artysty Antoniego Buszka, który kierował Stowarzyszeniem Warsztaty Krakowskie i uczył na kursach tej techniki. Z czasem, gdy przeniósł się (powrócił) do Warszawy, tam także założył szkołę, w której uczył batiku, łącząc tradycję batiku jawajskiego z rodzimym farbiarstwem opartym na wybarwieniach roślinnych.

Na radomskiej wystawie mogliśmy podziwiać połączenie technik malarstwa na tkaninie i batiku autorstwa: Jagody Figurskiej, Moniki Gerszewskiej, Katarzyny Lubańskiej-Bartos, Marty Łyżwińskiej, Marty Michalak, Moniki Mieszczakowskiej i Magdaleny Zawadzkiej.

M. Strzelec w zaproszeniu na wystawę napisała:

„Zastosowanie batiku daje możliwość wzbogacenia wypowiedzi rysunkowych i malarskich, posługiwania się zróżnicowaną kreską i walorem, budowania ciekawej materii. Malarstwo na tkaninie niegruntowanej, oprócz sprawności manualnej i technicznej, uczy dyscypliny w budowaniu kompozycji i łączenia barw. Wielokrotne, laserunkowe nakładanie farb musi być właściwie zaplanowane, ponieważ każde pociągnięcie pędzla pozostawia swój ślad i jest nieodwracalne. Wybór podłoży wpływa na charakter i estetykę malarstwa. Ta sama barwa położona na grubym płótnie inaczej wygląda na jedwabiu czy lnianej surówce. Biała bawełniana tkanina jest doskonałym tłem dla kompozycji wielobarwnych, malarstwo na cienkim batyście daje wrażenie witrażu i umożliwia oglądanie obrazu z obu stron. Nawarstwienie tkanin o różnych przezroczystościach tworzy wrażenie ruchu i inną przestrzeń”.

Prezentowane na wystawie prace, inspirowane naturą, stanowią szeroką gamę możliwości ekspresji artystycznej, jaką oferuje malarstwo na tkaninie.

Moją uwagę przyciągnęły prace Jagody Figurskiej i Moniki Mieszczakowskiej. Jagoda Figurska wykonała wielkoformatowe prace w intensywnej, zdecydowanej kolorystyce: mocnych i „bogatych" zieleniach oraz czerwieniach połączonych z granatami. Kolejna z jej prac utrzymana była w złożonych odcieniach żółci. Prace, choć abstrakcyjne, nawiązują do natury. W dwóch pierwszych można doszukać się odniesień do bujnej korony drzew, roślinności lasów tropikalnych. Prace „wciągają w głąb" i zachęcają do przejścia „na drugą stronę", są oknem do innego świata. Jej dwie pozostałe prace to kompozycyjna gra czerwieni i granatu oraz tonalnych przejść między nimi. Subtelnie kreślone linie przypominają rysunkiem pawie pióra. Jest w tych pracach i finezja, i delikatny ruch. Z kolei praca w żółcieniach to kompozycja oparta na złożonej formie, przypomina nakładające się na siebie liście miłorzębu japońskiego, tworzące skomplikowany wzór. Jest bardzo dekoracyjna.

Z kolei prace Moniki Mieszczakowskiej ujęły mnie ciekawą kompozycją. Trzy bardziej kameralne w wymiarze prace, wykonane w technice kolażu, przyciągają też kolorystyką: małe kawałki materiału zostały wybarwione na różne odcienie żółci i brązów i połączone w całość przypominającą las bądź fragmenty pni drzew i grę świateł między nimi. Choć są to prace abstrakcyjne, wywołują takie skojarzenia. Pozostałe prace tej autorki to wielkoformatowe, składające się z modułów – kwadratów – kompozycje. W dwóch z nich M. Mieszczakowska powtarza zasadę dziewięciu kwadratów, z których jeden jest zbudowany z następnych dziewięciu. Ostatnia praca to mały kwadrat umieszczony w środku kompozycji. We wszystkich pracach modułowych autorka wykorzystała kolorystykę opartą na błękitach. Prace są piękne w nasyconym kolorze i odnoszą się bezpośrednio do zmysłu wzroku – czarują nas.

Oryginalnym rysunkiem, charakterystycznym dla techniki batiku, przyciągają uwagę prace Katarzyny Lubańskiej-Bartos. Bardzo jestem ciekawa kolejnych prac tych autorek.

Lidia Ziemińska

Wystawa „Malarstwo na tkaninie – batik", Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia", ul. Żeromskiego 56, 23 października – 13 listopada 2015 r.

W stulecie śmierci Józefa Brandta

Mieczysław Szewczuk

12 czerwca 1915 r. zmarł w Radomiu Józef Brandt, tutaj odbyły się uroczystości pogrzebowe. Został pochowany na radomskim Cmentarzu Rzymskokatolickim w grobie rodzinnym Lesslów, matki i wuja (teraz przy ul. Limanowskiego). Mowę wygłosił ks. Józef Rokoszny (ukazała się drukiem).

Józef Brandt to jeden z najwybitniejszych malarzy polskich XIX w. – znakomity malarz batalista. Był jednym z przywódców polskiej kolonii artystycznej w Monachium, w jego pracowni uczyło się wielu. Obrazy Brandta znalazły się w różnych krajach świata, a on sygnował je często „Józef Brandt z Warszawy". Był polskim patriotą i – co równie ważne – swoimi obrazami z widokami egzotycznych ziem Podola, Ukrainy i ludzi tam żyjących inspirował Henryka Sienkiewicza.

Pamiętamy w Radomiu o urodzonym tu Jacku Malczewskim, rzadziej o Józefie Brandcie (choć jest patronem Zespołu Szkół Plastycznych). Ostatnia wystawa prezentująca twórczość Brandta w muzeum radomskim, zatytułowana „Józef Brandt – uczniowie i przyjaciele", odbywała się od grudnia 1998 do maja 1999 r. W Muzeum im. J. Malczewskiego można stale oglądać dużą kolekcję obrazów patrona – Jacka Malczewskiego, w tym kilka znakomitych, ale obrazów Brandta ostatnio nie było w ekspozycji. Okazją, by przypomnieć sobie obrazy, zobaczyć rysunki, fotografie z radomskich zbiorów, stała się wystawa w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku z okazji 100-lecia śmierci malarza. (Przypomnijmy, Józef Brandt w 1867 r. ożenił się z Heleną Pruszak, właścicielką Orońska, wdową po przyjacielu. Odtąd tu spędzali miesiące letnie).

Na orońskiej wystawie znalazły się obrazy Brandta z różnych kolekcji muzealnych i prywatnych. Zgromadzić jego dzieła nie jest łatwo, zwykle w muzeach są w stałej ekspozycji. Arcydziełem wystawy było „Chwytanie konia na arkan" (ok. 1880) ze zbiorów lwowskich. Mistrzostwo uchwycenia ruchu koni i ludzi, ich wysiłku – imponuje każdemu patrzącemu. Dla radomian ważne było nie tyle pokazanie obrazów, ile całego brandtowskiego archiwum zgromadzonego w Radomiu. W hierarchii zbiorów pokazujących postacie dawnych malarzy w radomskim muzeum ustępuje ono tylko kolekcji dzieł i archiwum Malczewskich. Ma dla nas jeszcze tę wartość, że są tu piękne pejzaże z pobliskiego Orońska i ludzie tam mieszkający (żartując: ziemia radomska w obrazach europejskiego malarstwa!). Oczywiście, są tu również szkice batalistyczne. Reprodukcje prac i dokumentów znalazły się w dużym i świetnie opracowanym albumie (wśród tekstów: Tomasza Pruszaka „Józef Brandt w kręgu rodziny i przyjaciół", wyjaśniający m.in. związki rodzinne z Radomiem). Wiedza o tej kolekcji będzie teraz lepsza wśród badaczy. Z fotografii, szkiców malarskich, słuchając wspomnień wnuka na filmie i z listów różnych osób poznajemy malarza poświęcającego czas i siły gospodarowaniu w Orońsku, a przede wszystkim hodowli koni – każdego znał z imienia i traktował indywidualnie. Umarł w Radomiu w czasie I wojny światowej. W 1914 r. wojska niemieckie rozgrabiły Orońsko i uprowadziły ukochane konie, w 1915 wojska rosyjskie deportowały rodzinę do Radomia.



Józef Brandt, „Pejzaż z Orońska", ok. 1875, wł. Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu

Szczególną atrakcją wystawy były też dwie rekonstrukcje. Przed budynkiem obrotowej pracowni plenerowej w formie ula, a w centrum sali wystawowej – monachijskiej pracowni i zbrojowni Brandta, zwanej wówczas przez wielu muzeum. Brandt kolekcjonował stare militaria i te zbiory zdecydował się podarować Polsce, niestety teraz są rozproszone, znajdują się w różnych działach dwóch muzeów warszawskich – Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska Polskiego.

Główna wystawa towarzysząca, która nosiła tytuł „Kłus, stęp, cwał", pokazywała konie w rzeźbie współczesnej. Kuratorem był Leszek Golec, który i jako kurator i jako twórca podejmuje wciąż temat naszego stosunku do zwierząt (też mi bliski) i zmusza nas, żebyśmy myśleli o nich jako istotach nam podobnych.

Mieczysław Szewczuk


fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Malarze z kręgu Arsenału w zbiorach Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu

Jacek Antoni Zieliński

W roku 1978 przystąpiłem do tworzenia galerii muzealnej „Krąg Arsenału" przy ówczesnym Muzeum Okręgowym w Gorzowie Wielkopolskim (obecna nazwa: Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta). W wyniku wieloletnich starań galeria, oficjalnie otwarta 31 stycznia 1989 r., istnieje i do obecnej chwili rozwija się. Jest poświęcona najwybitniejszym uczestnikom Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki w warszawskim Arsenale w roku 1955. Wystawy, która pod hasłem „Arsenał" przeszła do historii polskiej sztuki jako pierwszy tak zdecydowany akt sprzeciwu młodych twórców wobec realizmu socjalistycznego i jako jeden z najsilniejszych powiewów odwilży w kulturze. Galeria gromadzi wczesne prace „arsenałowców" i ich twórczość późniejszą, w miarę możliwości w najszerszym przekroju.

Niemal od początku działalności gorzowskiej nawiązałem bliskie kontakty z Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, personalnie z panem Mieczysławem Szewczukiem, kustoszem działu sztuki współczesnej[1], i z jego ówczesnym współpracownikiem panem Stanisławem Zbigniewem Kamieńskim. Zbiory radomskie były dla mnie ciekawe, ponieważ, jak chyba w żadnym polskim muzeum, znajdowało się w nich sporo prac artystów, których zamierzałem włączyć do galerii gorzowskiej. Z drugiej strony, sądzę, że moja działalność na polu „arsenałowym" interesowała moich radomskich kolegów, gdyż w jej trakcie ujawniały się nowe dzieła, a nawet nowe nazwiska. Niejednokrotnie zdarzało się, że pomagaliśmy sobie wzajemnie w ich pozyskiwaniu.

Nasze kontakty niekoniecznie zresztą musiały owocować efektami tak konkretnymi. Dla muzealnika ciekawe i pouczające bywa samo zapoznawanie się z pracą kolegów z innych ośrodków. Na tle stosunków panujących w tym środowisku można uznać za osobliwość brak rywalizacji i zazdrości między nami. Bowiem kustosze muzealni, choć z reguły reprezentują instytucje publiczne i dysponują ich funduszami, nierzadko zachowują się jak prywatni kolekcjonerzy, traktując inne muzea jako zagrażającą im konkurencję. Jest to wynik skrzywienia zawodowego, którego my szczęśliwie okazaliśmy się pozbawieni.

W zbiorach radomskich zwraca uwagę przede wszystkim duży, liczący aż 93 pozycje, zespół prac **Marka Oberländera** (1922–1978). Bez Oberländera nie byłoby „Arsenału". To on był autorem pomysłu urządzenia odwilżowej „wystawy młodych" w roku 1955 podczas V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Zasługi organizacyjne nie zawsze pokrywają się z talentem artystycznym. W przypadku Oberländera jedno i drugie szło w parze. Jego dwa obrazy z „Arsenału": „Napiętnowani" i „Cebule" stały się w 1955 r. przedmiotem dużego zainteresowania i dyskusji krytyków. W latach następnych obraz „Napiętnowani", zakupiony do zbiorów państwowych, funkcjonował wręcz jako znak rozpoznawczy „Arsenału". Aż za bardzo, bo przesłaniał inne dzieła i nazwiska. Nie była to wina artysty, lecz wynik polityki władz kulturalnych PRL, które za pomocą tego jednego obrazu „załatwiały problem", spychając jednocześnie w cień pamięć o „Arsenale" jako wydarzeniu przełomowym. Autor „Napiętnowanych" od 1963 r. przebywał na emigracji. Obraz ten przesłaniał także jego późniejszą twórczość, bogatą i zróżnicowaną, w kraju zupełnie nieznaną. Ten stan uległ zmianie dopiero w roku 1980, gdy Muzeum Narodowe we Wrocławiu urządziło dużą wystawę pośmiertną Marka Oberländera. Jej organizatorem i bezpośrednim odbiorcą sporej części spuścizny artystycznej Oberländera był dyrektor Muzeum Narodowego Mariusz Hermansdorfer. Jednak lata następne ujawniły, że to, co pokazano we Wrocławiu (i następnie w Warszawie) nie wyczerpuje twórczości artysty. Zbiory radomskie i gorzowskie zawierają jej istotne uzupełnienie. W Radomiu wybija się szczególnie seria dziesięciu dużych rysunków (tusz lawowany) z roku 1960 pod tytułem „Figura". Nie mają one odpowiedników w żadnych innych kolekcjach. Myślę, że bez tych rysunków nie można sobie wyobrazić całości dzieła Marka Oberländera. („Napiętnowani" znajdują się w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, „Cebule" w Muzeum Lubuskim w Gorzowie).

Przypisując bezsprzeczne pierwszeństwo Oberländerowi, nie można zapominać, że „grupa inicjatywna" w roku 1955 składała się z trzech artystów i że wszyscy byli wybitnymi twórcami. Drugi z trzech członków tej grupy, **Jan Dziędziora** (1926–1987), nie jest reprezentowany w radomskiej kolekcji. Szkoda, tym bardziej, że to szczególny przypadek świetnego artysty, który przez wiele lat z własnego wyboru pozostawał w cieniu, może z nad-

[1] Od roku 1991 istnieje jako Muzeum Sztuki Współczesnej, oddział Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu.

miaru autokrytycyzmu. Jednak nie bez powodu przyznano mu Nagrodę im. Jana Cybisa w roku 1975 i Nagrodę „Solidarności" w roku 1982. Wystawa pośmiertna w warszawskiej Zachęcie w roku 1994 potwierdziła wysoką rangę tego malarza.

Trzeci malarz, którego nazwisko wiąże się z inicjatywą „arsenałową", to **Jacek Sienicki** (1928–2000). W odróżnieniu od Dzięddziory nie można go uznać za niedocenionego. To malarstwo mocne, bazujące na ekspresyjnym, choć niekrzykliwym działaniu koloru, wywodzące się z tradycji romantycznej w najlepszym znaczeniu tego słowa. W radomskiej kolekcji znajdujemy cztery obrazy i siedem rysunków Jacka Sienickiego.

Postacią legendarną tamtego pokolenia stał się obecnie młodo zmarły **Andrzej Wróblewski** (1927–1957). W Radomiu – jeden obraz z 1949 r., charakterystyczny w swym antyestetyzmie „Sklepikarz" i jeden niedatowany gwasz na papierze.

W roku 1955 legendą pokolenia był jeszcze nie Andrzej Wróblewski, lecz **Waldemar Cwenarski** (1926–1953), jedyny artysta, którego obrazy wystawiono w „Arsenale" pośmiertnie. Nie dziwi mnie brak Cwenarskiego w Radomiu, nie mamy go też w Gorzowie. Cała, niezbyt liczna twórczość artysty trafiła po jego śmierci do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Szansa pozyskania przez inne muzea jakichś prac Cwenarskiego jest obecnie bliska zeru.

W kolekcji radomskiej ważną pozycję stanowi spory, liczący 72 obiekty zespół prac **Izaaka Celnikiera** (1923–2011). Celnikier to postać dla „Arsenału" tyleż ważna co Oberländer i tyleż tajemnicza co Dzięddziora, choć przyczyny tej tajemniczości są całkiem odmienne. Nie widzimy go w grupie inicjatorów „Arsenału", ale po paru miesiącach włącza się w organizację wystawy tak dynamicznie, że niebawem przewyższa aktywnością Oberländera. I podobnie jak Oberländer staje się jednym z najważniejszych w „Arsenale" autorów. Jego duży obraz „Getto" (obecnie w Muzeum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie) był często komentowany przez ówczesną krytykę i uznawany – z przyczyn nie całkiem dziś zrozumiałych – za kontrowersyjny. Jego autor udał się na emigrację jeszcze wcześniej niż Marek Oberländer, bo w roku 1957, i nigdy już z niej nie wrócił. Po zerwaniu kontaktów z Polską przez kilkadziesiąt lat odmawiał udziału w krajowym życiu artystycznym, choć wystawiał we Francji (gdzie mieszkał) i w innych krajach. W Polsce był właściwie nieznany. Toteż z miłym zdziwieniem przyjęliśmy w roku 2005 dużą wystawę Celnikiera w Muzeum Narodowym w Krakowie. Ukazała ona bardzo poważne dzieło niezwykłego ekspresjonisty, który większość życia poświęcił tematowi Zagłady. Celnikier, jako rasowy malarz, nie traktował tego tematu dokumentalnie. Dawał artystyczne świadectwo osobistego przeżycia Żyda cudem ocalonego z Auschwitz. Po wspomnianej wystawie artysta otrzymał od środowiska krakowskiego Nagrodę im. Witolda Wojtkiewicza, z którą wiązała się druga, mniejsza wystawa w galerii „Pryzmat" w roku 2006. W wyniku tych wydarzeń trafiły do polskich zbiorów dwa obrazy Celnikiera z lat 80. ub. wieku – świetne i znaczące, ale tylko dwa. Moje wcześniejsze starania o uzyskanie od Izaaka Celnikiera jakichś obrazów dla gorzowskiego muzeum nie dały rezultatu. Ostatecznie mamy sporo jego dzieł pochodzących z innych źródeł, ale są to głównie prace z wczesnego okresu lat 50. Podobnie jest w Radomiu. Liczba 72 obiektów wydaje się znaczna, ale to wszakże jeden duży, niedokończony obraz „Korea" z wczesnych lat 50., pięć szkiców do niego oraz 66 wczesnych rysunków na papierze. W sumie z tych dwóch zespołów prac Celnikiera: radomskiego i gorzowskiego, można by złożyć sporą wystawę, ale nie dawałaby ona pojęcia o prawdziwej wielkości tego malarza.

Dwaj wybitni twórcy: abstrakcjonista **Stefan Gierowski** (ur. 1925) i często skłaniający

PLASTYKA



Krystyna Brzechwa, „Poranek", 1964, olej, płótno, 140x110 cm

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Marek Oberländer, „Martwa natura z chlebem", 1955, olej, płótno, 65x81 cm

się ku abstrakcji **Jan Tarasin** (1926–2009) stanowią dla mnie przypadek trudny do sklasyfikowania. Gierowski w roku 1955 nie był jeszcze abstrakcjonistą. Jego udział w „Arsenale" był skromny, ale zauważalny dzięki nieprzeciętnemu talentowi, już wówczas rozpoznawalnemu. Udział Tarasina był bardziej zauważalny, tak dzięki talentowi, jak też dlatego, że jego litografie z cyklu „Dom" włączały się wyraźnie w niepisany program wystawy w „Arsenale". Jednak w latach późniejszych obaj malarze poszli drogami, które z duchem „Arsenału" nie miały nic wspólnego. Mam na myśli ducha ekspresjonizmu, choćby utajonego, ale zawsze dającego się odczuć, nawet w dojrzałej, już nie młodzieńczej twórczości „arsenałowców". Gdy tworzyłem galerię muzealną w Gorzowie, uważałem, że ten arsenałowy rodowód powinien być w niej czytelny, jako nuta dominująca. Dlatego najpóźniejsze obrazy Stefana Gierowskiego w Gorzowie noszą datę 1967. Najpóźniejsza z prac Jana Tarasina pochodzi z roku 1981, ale przyznaję, że wybierałem je tendencyjnie, doszukując się w nich drzemiącego jeszcze „ducha Arsenału". Zbiory radomskie są wolne od takiego ograniczenia. Zestaw prac Stefana Gierowskiego liczy w nich tylko dziewięć pozycji, ale wydaje się reprezentatywny, tym bardziej że znajduje się w nim jeden obraz z roku 1957. Jan Tarasin reprezentowany jest imponującą liczbą 96 prac. Wynika to w dużej mierze stąd, że artysta często tworzył w technikach powielanych: serigrafii i fotografii, i takie prace dominują w radomskiej kolekcji, choć są również cztery obrazy oraz osiem rysunków.

Bardzo szczególnym zjawiskiem w kolekcji radomskiej jest **Henryk Błachnio** (1922–2013). Był to artysta ze wszech miar osobny. Ewokował w swym malarstwie pokłady podświadomości i marzeń sennych, choć trudno go uznać za typowego nadrealistę. Gustował w ponurej grotesce, ale nie był karykaturzystą. Malował obrazy bardzo duże i bardzo małe, co w jego wypadku miało znaczenie. Stronił od wystaw, żył w świecie własnej wyobraźni. Jego udział w „Arsenale" nie był wyrazisty i prawdę mówiąc, przeszedł niezauważony. Błachnio określił się jako malarz w ciągu dziesięciolecia po roku 1955. Wówczas jego pracownia stała się miejscem częstych spotkań kolegów malarzy. Błachnio miał gorących wielbicieli, ale byli też tacy, którzy zarzucali mu manieryzm. Dzięki inicjatywie wielbicieli otrzymał w roku 1993 Nagrodę im. Jana Cybisa, choć trudno sobie wyobrazić twórczość bardziej odległą od dzieł jej patrona. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że jest to artysta, który żyje sztuką i właściwie tylko sztuką. (Aby przeżyć i malować, dokonywał cudów oszczędności). Był typem malarza z okresu symbolizmu. Sądzę, że bardziej odpowiednia byłaby dlań Nagroda im. Witolda Wojtkiewicza. W Gorzowie znajduje się dobry wybór prac Henryka Błachni, lecz ilościowo proporcjonalny do jego udziału w „Arsenale". Natomiast muzeum radomskie posiada największy w Polsce zbiór jego dzieł, w liczbie 55. Jest tu 15 obrazów wielkoformatowych, 36 małych oraz 4 rysunki. Kto kiedykolwiek będzie chciał zapoznać się z twórczością Henryka Błachni, powinien zacząć od Radomia.

W roku 2012 wróciła do kraju ze Stanów Zjednoczonych, po 45 latach nieobecności, **Teresa Mellerowicz-Gella** (ur. 1927). W roku 1955 objawiła się jako „gwiazda Arsenału". W latach następnych mocno zaistniała w polskim malarstwie. Wyróżniała ją skłonność do penetracji przedmiotu i figury ludzkiej w duchu poszukiwania „nowej przestrzeni". Równolegle malowała ekspresjonistyczne portrety, będące kontynuacją jej wystąpienia w „Arsenale". Długi okres emigracji, od roku 1967, sprawił, że w kraju została całkiem zapomniana. W roku bieżącym (2015) przypomina Teresę Mellerowicz wystawa retrospektywna w Gorzowie. (Prawdopodobnie zostanie pokazana także w paru innych miastach). Teresa Mellerowicz ofiarowała Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu cztery swoje obrazy z różnych okresów.

JACEK ANTONI ZIELIŃSKI

Ur. w 1936 r. w Warszawie. Malarz, krytyk sztuki, eseista, autor szkolnych podręczników z dziedziny plastyki. Studiował w warszawskiej ASP, 1954–60 (za najważniejszego profesora uważa Stanisława Szczepańskiego), dyplom w pracowni Tadeusza Kulisiewicza. Jego sztuka należy do najbardziej odrębnych zjawisk w polskim malarstwie współczesnym. W zbiorach Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu jest 28 jego prac (obrazy i rysunki) z lat 1975–2003 (zakupy i dary).

O kilka lat młodszy od najmłodszych uczestników wystawy w warszawskim Arsenale w 1955 r., jest znawcą i krytykiem twórczości artystów z tego kręgu. Stworzył dużą kolekcję ich dzieł w muzeum w Gorzowie Wielkopolskim.

Jeżeli czegoś zazdroszczę Mieczysławowi Szewczukowi, to tego, że jest „posiadaczem” pięknego zespołu dziewięciu drzeworytów i jednego obrazu **Jerzego Panka** (1918–2001). My w Gorzowie mamy tylko jedną (choć znakomitą) karykaturę Barbary Jonscher, narysowaną przez Panka na bibułkowej serwetce.

Na tak podmalowane tło chcę rzucić sporą garść nazwisk artystów bardzo znanych i mniej znanych, obecnych zarówno w kolekcji radomskiej, jak i w gorzowskiej – w różnych proporcjach. Wszystkie one składają się na panoramę zjawiska zwanego „Kręgiem Arsenału”: Jan Lebenstein, Rajmund Ziemski, Przemysław Brykalski, Jacek Sempoliński, Barbara Jonscher, Gabriela Obremba, Jerzy Ćwiertnia, Krystyna Brzechwa, Adam Hoffman, Zbigniew Karpiński.

Do tej plejady dodaję paru malarzy, których prace można znaleźć w Radomiu, a w Gorzowie są nieobecni – z różnych względów: Stanisław Wójtowicz (w „Arsenale” wystawiał jako Woytowicz), Józef Hałas, Jerzy Krawczyk, Hilary Krzysztofiak.

Jak widać – kolekcje radomska i gorzowska uzupełniają się. Czy tylko w sferze marzeń musi pozostawać wspólna wystawa tych zbiorów pod hasłem „Krąg Arsenału”?

Jacek Antoni Zieliński

Notatki z Kijowa

Michał Płoski

III Międzynarodowy Plener Malarzy Ikon
Miejsce: Monastyr Michajłowski w Kijowie
Czas: 16–30 listopada 2015 r.
Temat: Emigracja w Biblii
Organizator: „Eleos – Milist'” – Wydział Służby Socjalnej i Charytatywnej Prawosławnej Cerkwii Patriarchatu Kijowskiego. Dyrektor wydziału – ks. Siergiej Dmitriev.
Współpraca ze strony polskiej – Hubert Kampa
Patronat Ambasady Polskiej i błogosławieństwo Patriarchy Filareta

*

Wysiadam z Anetą z autokaru i odbieramy bagaże. Plac zapełniony autobusami, mniejszymi od naszego, który łączy Kraków z Kijowem. Wokół jakieś daszki, budki. Pada, niebo zasnute chmurami i dymami z pobliskiej kotłowni. Przeciskamy się przez tłum, ciągnąc nasze walizki po nierównej nawierzchni. Którędy do stacji metra? Ktoś tłumaczy nam po polsku. Pytam, czy jest Polakiem. Odpowiada: „Nie, ale ja ze Lwowa”. Po schodkach zbitych z desek wychodzimy na ulicę Petlury. Co chwila mijamy ludzi trzymających tablice z napisami. Zbierają pasażerów, wykrzykując nazwy miast. Za rogiem wejście oznaczone literą „M” – stacja „Wokzalnaja”. Zjeżdżamy ruchomymi schodami głęboko pod ziemię. Po chwili jesteśmy na Majdanie Niezależności. Jeszcze stromą ulicą w górę. Ciągle pada. Wreszcie przed nami zasnute mgłą i deszczem złote kopuły monasteru.

*

Mieszkam z Josifem. Przyjechał z Rosji – wielogodzinna udręka na granicy. Urodził się pod Sanokiem w 1940 r. Po wojnie wraz z rodzicami, polskimi Ukraińcami, trafił do Związku Radzieckiego. Artysta o dużym dorobku – plakat, ilustracja książkowa, także malarstwo portretowe i pejzaż. Jest profesorem w wyższej szkole plastycznej.

*

Kładę swoją deskę na stoliku. Josif przenosi się z naszego małego i dość ciemnego pokoju na klatkę schodową, gdzie przy podeście jest wielkie okno i dobre światło. Spaliła się u nas w pokoju żarówka. O zmierzchu nie da się już malować. Idę do muzeum Bułhakowa, w domu przy Zjeździe Andrejewskim. Mieszkanie opisane w *Białej gwardii* – azyl za kremowymi zasłonami, w niespokojnym czasie zamieszek i wojny. Fotografie, ikona Matki Bożej – ta sama, przed którą Helena modliła się o ratunek dla umierającego Turbina, piec z napisami i rysunkami...

Wieczorem w naszym pokoju pojawia się mnich w riasie, w kołpaku z długim welonem. Stwierdza, że wymiana żarówek nic nie daje – sprawa jest poważniejsza.

*

Do południa maluję. Wychodzę o zmierzchu. Sobór Sofijski. Dołączam do wycieczki. Przewodnik mówi po rosyjsku. Wszyscy, jakieś pięćdziesiąt osób, uważnie słuchają, a gdy on wskazuje freski, mozaiki lub sarkofagi, zwracają głowy we wskazanym kierunku.

Wieczorem odwiedziny zakonnego brata riasa: broda, na głowie kamiławka. Po chwili mamy światło.

*

Każdego dnia o 20 spotkania naszej grupy. Hubert prowadzi rozważania tekstów biblijnych związanych z opuszczeniem kraju, wędrówką. Postacie Abrahama, Józefa, Mojżesza, Tobiasza, Rut, św. Rodziny uciekającej do Egiptu, wreszcie samego Pana Jezusa mają nam dopomóc odnajdywać w losach uchodźców, emigrantów nie tylko cierpienie i trud, ale aspekt pozytywny, przezwyciężanie granic pomiędzy ludźmi, drogę ku ziemi obiecanej, drogę ku Niebu.

*

Posiłki jemy w stołówce dla seminarzystów, w obszernej piwnicy. Bardzo skromne: kasza, chleb bez masła, ziemniaki, niewielka porcja ryby, herbata, kompot. Stoliki nakryte podniszczoną ceratą, blaszane talerze. Klerycy śpiewają modlitwę przed i po posiłkach. Ważnym elementem formacji jest codzienna służba liturgiczna – w monasterze to każdego dnia parę godzin. Na ile pozwala mi czas, staram się zaglądać do cerkwi. Wieczernia. Płonie wiele świec. Blask ikon i liturgicznych szat. Śpiew.

Josif już kończy swoją pierwszą pracę. Nigdy nie podejmował w swojej twórczości tematyki religijnej. W technice olejnej namalował twarz Chrystusa. W miejsce korony cierniowej przytwierdził kolczasty drut – symbol granicy.

*

Wreszcie zaświeciło słońce. Spacerujemy całą naszą grupą. XIX-wieczny Kijów. Wielopiętrowe kamienice, przykłady historyzmu lub pięknej secesji. Mijamy ponury gmach z napisem „Służba Bezpieki Ukraini”. Przed nim niewielka rzeźba z brązu – parafraza zwycięstwa św. Jerzego nad smokiem. Jerzy w stroju kozackim spina swego rumaka i godzi włócznią smoka – dwugłowego, jak rosyjski orzeł. Pod nimi kontur mapy Ukrainy. Kopyta wierzchowca wsparte na zachodzie kraju, smok leży na części wschodniej. Jest z nami Lena, która przyjechała do Kijowa na szkolenie pracowników socjalnych. W pobliżu miasta, z którego pochodzi, została właśnie wysadzona trakcja wysokiego napięcia, co pozbawiło Krym energii elektrycznej. Uważa, że to zbyt radykalny środek. Podobno zrobili to Tatarzy, uchodźcy z Krymu. Trudno jednak powiedzieć, kto za tym stoi, komu zależy na podgrzewaniu napięcia. Lena mówi o trudnych warunkach życia, o tym, że ludzie ratują się kradzieżami z zakładów pracy, o dochodowym handlu narkotykami i wyrosłych z niego kartelach. Narzeka na brak reform, bierność rządu. Pytam, jak widzi przyszłość, co będzie? Wojna – odpowiada bez emocji. Tu często to słyszę. Ludzie o tym mówią jak o nadciągającej katastrofie, której nie można zapobiec.


fot. Elena Popova

Na placu Sofijskim spotykamy manifestację. Przesuwa się kolumna kilkuset, może tysiąca ludzi, przeważnie młodych, z flagami niebiesko-żółtymi i czerwono-czarnymi prawego sektora. Josif pyta, o co im chodzi, dokąd idą? Upomnieć się o aresztowanego kolegę. Takie grupy manifestantów zwołują się przez internet i gromadzą bez uzyskania odpowiednich zezwoleń. Policja interweniuje lub poprzestaje, jak w tym wypadku, na obserwacji grupy. Ks. Siergiej ostrzega, żeby się trzymać od nich z dala, a wieczorem nie wychodzić na Majdan Niezależności.

*

Aneta kończy malować anioła Rafała opiekującego się Tobiaszem. Na drugiej desce narysowała scenę powrotu marnotrawnego syna. W plenerze uczestniczy troje studentów z ASP w Gdańsku. Michał maluje kompozycję inspirowaną wędrówką Izraela przez pustynię, jego żona Marta przedstawia odnalezienie Mojżesza w wodach Nilu, Piotr maluje Booza. Są to prace wykonywane w technice tempery żółtkowej i inspirowane księgami Biblii, jednak niezależne od tradycyjnych kanonów czy zaleceń hermenei. Podobnie jak praca Huberta, na której przedstawia Chrystusa na tle szkicowo zaznaczonej Trójcy św. Eugeniusz, który brał udział w wielu wystawach sztuki sakralnej, tworzy malarskie kompozycje daleko odbiegające od tradycyjnych ikon. Sergiej, znany ukraiński artysta, który na plener przyjechał ze Lwowa z żoną Oksaną i trzyletnim synkiem Sewerynem, tworzy tryptyk opowiadający o ucieczce św. Rodziny do Egiptu. Józef niesie Jezusa do obcego kraju i ta wędrówka ma w ujęciu Sergieja walor misyjny. Zgodna z kanonem ikon jest praca Jolanty przedstawiająca proroka Eliasza. Wadim wykonuje po prostu ikony Matki Bożej Częstochowskiej i Włodzimierskiej. Element emigracyjny widzi w podróżach, jakie były udziałem tych świętych ikon. Dmitro i jego dziewczyna Ania próbują swoim pracom nadać nowatorską formę. Dmitro kreśli monochromatyczny wizerunek Matki Bożej. Każdy z nas ma przygotować na wystawę dwie prace i do ostatniego momentu rodzą się nowe pomysły. Co do mnie, zdecydowałem, że zaprezentuję ikony wzorowane na pochodzących z łemkowskiej cerkwi dwóch znanych dziełach z XV w., które znajdują się w muzeach w Sanoku i w Krakowie. Są to „Ukrzyżowanie" i „Trójca św." W moim zamyśle mają przypominać o losie Łemków zmuszonych do opuszczenia swych siedzib po II wojnie światowej. Jednym z nich był sześcioletni wówczas Josif.

Tego wieczoru rozważania biblijne prowadzi ks. Siergiej. Czytamy fragment o oddaleniu Hagar z Izmaelem (Rdz 21, 14–20). O tym, jak znaleźli się na pustyni, bliscy śmierci. O płaczu Hagar, która odeszła od swego syna, aby nie patrzeć na jego konanie. Bóg usłyszał jej płacz i jęk chłopca, i ocalił ich. Izmaelici nie zostali odtrąceni przez Boga, Jego błogosławieństwo obejmuje Arabów, wyznawców islamu. Bóg słyszy płacz uchodźców. Ks. Siergiej opowiada o współpracy w ramach działalności charytatywnej ludzi różnych wyznań, religii, światopoglądów. Swego przyjaciela, imama wspólnoty tatarskiej, zaprosił na wernisaż naszej wystawy.

*

Ławra Peczerska. Siedzę przed kasą, w której kupuje się bilety do podziemnych korytarzy i pieczar, czekając na innych chętnych. Potrzeba jeszcze jednej osoby, aby otrzymać przewodniczkę. Mniszka siedząca w okienku pyta mnie o wyznanie i kraj pochodzenia. Odpowiadam, że Polak, katolik, ale modlę się wspólnie z prawosławnymi. „Jak się modlicie, to powinniście wybrać" – mówi do mnie. „W prawosławiu głową kościoła jest Chrystus, a u katolików papież" – dodaje obcesowo. Chciałbym jej powiedzieć, że obecny papież najchętniej nazywa siebie po prostu biskupem Rzymu, i że Jan Paweł II w encyklice „Ut unum sint" zachęcał do dyskusji nad formą sprawowania prymatu i wiele życzliwych słów poświęcił prawosławiu ruskiemu. Wolę jednak milczeć. Oczekiwanie się przedłuża. W końcu wykupuję dwa bilety. Idziemy ciasnymi korytarzami podziemi. Jedynym oświetleniem są świeczki, które trzymamy w dłoniach. Moja przewodniczka recytuje monotonnym głosem opowieści o kolejnych świętych. Leżą w oszklonych trumnach. Zmumifikowane ciała i twarze są okryte haftowanymi tkaninami. Przewodniczka, młoda dziewczyna otulona chustą, pochyla się głęboko i całuje lub dotyka czołem trumien. Powtarzam ten gest za nią. Co jakiś czas niewielkie kaplice – świece, ikony, trumny. Mijamy pątników. Przy niektórych sarkofagach klęczą ludzie. Ktoś pyta, jak dojść do jednego z licznych tu świętych. Cisza, ciemność, tylko nikłe płomyki świec. Znów pochylamy się przy kolejnych trumnach „prepodobnych" mnichów.

*

Wieczór w filharmonii. Tu miła niespodzianka – fotografia Jana Pawła II ze spotkania ekumenicznego, które odbyło się w tym miejscu. Dziś symfonia Haydna, koncert skrzypcowy Dworzaka, po przerwie symfonia Sibeliusa. Pełna sala, bardzo gorące przyjęcie.

*

Ukończyłem swoje ikony. Przed południem jestem na Majdanie Niezależności. Nieliczni przechodnie. U wylotów ulic i na placu wojskowe patrole. Żołnierze nie mają broni. W sklepie z pamiątkami rozmawiam ze sprzedawczynią. Radzi mi, żeby dzisiaj nie wychodzić na ulicę. Wracam do monasteru. Plac przed bramą zamknięty jest kordonem żołnierzy. Mówię, że mieszkam w klasztorze. Odsyłają do „komandira". W końcu dostaję się niewielką furtką w innej części muru, która nie jest obstawiona. Pytam kolegów z Ukrainy, o co chodzi. „Nic nadzwyczajnego, pewnie ktoś próbuje zwołać manifestację". Dziś 28 listopada, wyznaczony na dzień pamięci o Wielkim Głodzie z lat 1932–33.

Robimy wspólną wycieczkę do Monasteru Widubickiego związanego z czasami chrztu Rusi. Jedno z wyjaśnień nazwy tego miejsca na naddnieprzańskiej skarpie głosi, że tu wydobyto obalony w Kijowie posąg Peruna.

Metro, a potem „marszrutka", czyli mały autobus. Śnieg z deszczem – paskudnie. Piękna staroruska architektura nakryta barokowymi hełmami. Wnętrza mniej ciekawe, przez lata były tu świeckie urzędy. Obecnie mnisi rekonstruują barokowy wystrój.

Zapada wczesny mrok. Deszcz ustał. Stosunkowo niedaleko wznosi się ogromny pomnik Matki Ojczyzny: monumentalna postać dzierży we wzniesionych dłoniach miecz i tarczę, na niej herb z sierpem i młotem. Idziemy w górę po wielkich schodach. Pod nami niezliczone światła Kijowa. Cokołem pomnika jest okrągły gmach – Muzeum Wojny Ojczyźnianej. Ekspozycja współczesna – z wojny na wschodzie przechodzi w tę z lat II wojny światowej. Fotografie z walk, ranni, świeże groby, zrujnowane budynki, wojskowy sprzęt. Stosy łusek po nabojach... Powracający koszmar, który wydaje się nie mieć końca. Wracamy do naszego klasztoru. W bocznej, ciemnej ulicy szereg umundurowanych mężczyzn – hełmy, duże, prostokątne tarcze.

Josif wybiera się jeszcze z ks. Siergiejem pod pomnik Wielkiego Głodu. Byłem tam, idąc do Ławy Peczerskiej. Trzydziestometrowy monument w formie świecy. Umieszczono na nim złote żurawie – symbol wolności. Przed nim niewielka rzeźba z brązu, przedstawiająca wychudzoną dziewczynkę przyciskającą do piersi kłosy zboża. Josif wraca późno. Jest poruszony. Wielu ludzi przyszło tam tego wieczoru. Tysiące zapalonych świateł. Dołączył do nich lampki w intencji krewnych jego matki, którzy zmarli z głodu w ów straszny czas.

*

Dmitro zabiera nas do swojej pracowni na najwyższym piętrze Akademii Kijowsko-Mohylewskiej. Ania robi nam herbatę. Tego dnia byliśmy razem w cerkwi św. Kiryła z połowy XII w., z wczesnymi freskami i pracami Wrubla z lat 80. XIX w. Wędrowaliśmy też po Padole. W cerkwi Narodzenia Chrystusa ikony Wadima, a w uniwersyteckiej kaplicy „Golgota" – Dmitra. Stoję przy wielkim oknie w pracowni i patrzę na Dniepr w ostatnich światłach zmierzchu.

*

Ostatni dzień. Aneta i ja nie będziemy na wernisażu, bo nasz autobus odchodzi wcześniej. Mamy nadzieję, że zdążymy jeszcze wziąć udział w spotkaniu z patriarchą Filaretem, który zaprosił naszą grupę. Jedziemy do jego rezydencji, trzeba jednak czekać. Ks. Siergiej zabiera nas do kawiarni. Piotr i Michał, którzy nocą rozwieszali naszą wystawę, przysypiają przy stoliku. Jolanta opowiada mi o doświadczeniach jej męża, który od dwóch lat zaangażowany jest w unijny projekt przeciwdziałania AIDS na Ukrainie. Zgłosiło się około 16 tys. nosicieli HIV, dla których sprowadzono drogie lekarstwa. Prawie połowa przerwała kurację, w stosunku do nich ten wysiłek był daremny. Problemem stały się także inne społeczne choroby – syfilis, gruźlica. Jola mówi o apatii ludzi i bierności rządu. Pomocą jest zaangażowanie duchownych różnych wyznań – wśród nich Siergieja. Aneta i ja musimy już iść. Ściskamy się na pożegnanie ze wszystkimi. Znów zatłoczone metro, ulica Petlury i dworcowy plac wypełniony autobusami. Pada deszcz. Chronimy się pod daszkiem. Obok mnie dwoje starych ludzi z walizkami, mąż z żoną. On rozmawia po rosyjsku przez telefon: „Tak, ciągle pada, ale jest daszek, schowaliśmy się pod daszkiem, wszystko dobrze...". Jest brudno, cuchnie moczem. Jakiś pijany żołnierz z podrapaną twarzą błąka się pomiędzy autobusami. Inny, trzeźwy, pali papierosa obok nas. Połowy mundur, cywilny plecak. Zastanawiam się, czy jedzie na urlop, czy do jednostki. Podjeżdża jego autobus. Gasi papierosa, wsiada. Czytam na tablicy na przedniej szybie „Riwne" – a więc pewnie do domu. Ruszają, żołnierz przeciera ręką zaparowaną szybę. Wygląda to tak, jakby machał mi na pożegnanie.

Michał Płoski


fot. archiwum MBP

Stanisław Zbigniew Kamieński

Stanisław Zbigniew Kamieński (ur. w 1951 r. w Radomiu). Studiował w ASP w Krakowie i Warszawie w latach 1970–1975. Dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Litografii prof. Mariana Rojewskiego na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie w 1975 r. W latach 1975–1987 pracował jako asystent i adiunkt w Pracowni Litografii na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie, w 1989 r. rozpoczął pracę na Politechnice Radomskiej (obecnie Uniwersytet Techniczno-Humanistyczny w Radomiu), w 2000 r. otrzymał tytuł profesora w dziedzinie sztuk pięknych. Obecnie prowadzi zajęcia dydaktyczne z rysunku i malarstwa na Wydziale Sztuki UTH w Radomiu.

Współzałożyciel Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Radomiu, w latach 1990–2000 uczył tam przedmiotu rysunek z malarstwem. Od 1991 do 2008 r. pracował w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, organizator wystaw polskiego rysunku współczesnego w latach 1978–2006. W 2007 r. otrzymał Radomską Nagrodę Kulturalną.

Uprawia grafikę (do 1985), rysunek, malarstwo, fotografię i plakat. Jest kuratorem wystaw, redaktorem albumów o sztuce, od kilkunastu lat członek zespołu redakcyjnego „Miesięcznika Prowincjonalnego", w którym publikuje fotografie i teksty o sztuce, prowadzi też „Galerię Prowincjonalną" i jest autorem okładek. W 2015 r. okładka jego autorstwa zdobyła wyróżnienie w ogólnopolskim XIII Konkursie na Prasową Okładkę Roku GrandFront 2014.

Profesor Stanisław Zbigniew Kamieński obchodził w tym roku jubileusz 40-lecia pracy artystycznej. Wernisaż jego wystawy „40 autoportretów na XL lat pracy" wieńczył V Radomskie Targi Wydawnictw Regionalnych, którym towarzyszyło przyznanie Nagrody Literackiej Miasta Radomia. Zbieżność tych wydarzeń nie była przypadkowa, Stanisław Zbigniew Kamieński od lat darzy sentymentem literaturę, bibliotekę i „Miesięcznik Prowincjonalny", a sympatia ta jest wzajemna. Poniższy tekst jest skróconą wersją laudacji, którą miałam zaszczyt wygłosić podczas jubileuszu, i koncentruje się na części twórczości S.Z. Kamieńskiego związanej z radomską biblioteką, choć związki te są bardzo różnorodne, a czasem nieoczywiste.

40 lat, a więc:

Rozpoczynamy w roku 1975 – początek pracy twórczej, o którym nie udało mi się nic więcej dowiedzieć, poza tym, że był obiecujący – dyplom z wyróżnieniem.

1976 – wystawa grafik Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego w witrynach biblioteki, która wówczas mieściła się w innym budynku, u zbiegu ulicy Żeromskiego i placu Konstytucji 3 Maja. Grafiki te, podobnie jak cały Radom, ucierpiały w wydarzeniach Czerwca '76 – podczas antykomunistycznego robotniczego protestu zostały oblane czerwonym płynem. Brzmi dramatycznie, ale profesor Kamieński twierdzi, że po skrupulatnym badaniu organoleptycznym okazało się, że była to wiśniówka.

Lata 1979, 1980, 1982, 1984, 1985 i 1986 – projekty plakatów i ekslibrisów na kolejne radomskie wiosny literackie. Początkowe zielone liście, ptasie pióra i swobodne ślady pędzla zmieniają się na przestrzeni lat w poszarzałe przedmioty codziennego użytku – miskę, radio, materac, krzesło. Mała stabilizacja?

W 1982 r. wiosną w wyobraźni Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego pojawia się Czarny Pegaz – Pegaz Stanu Wojennego. O swoim kontrowersyjnym plakacie na 9. Radomską Wiosnę Literacką S.Z. Kamieński tak pisał po latach w katalogu do wystawy zorganizowanej w ramach obchodów 25-lecia „Solidarności": Postanowiłem nie rezygnować z zamówienia i przedstawić na plakacie symbol natchnienia poetyckiego – Pegaza, ale miał to być Pegaz stanu wojennego. Koń nie rozwijał więc skrzydeł do lotu, ale stał z opuszczonym łbem. Nad jego grzbietem unosił się ptak, machając skrzydłami i przyprawiając je niejako koniowi, któremu uskrzydlenia jakoś w tym momencie zabrakło. Ptak i koń były czarnymi kształtami, scena rozgrywała się na burym tle, postanowiłem wydrukować plakat na zgrzebnym, jak wszystko wówczas, brązowym papierze pakowym, nazywanym popularnie „szarym". Plakat ukazał się jakimś cudem, cenzura nie dopatrzyła się treści godzących w podstawy socjalistycznego ustroju, dopiero po wydrukowaniu dostrzeżono jego wrogą wymowę. W mieście ukazały się dopiski na plakacie „wrona na siwaku" (przypominam, że skrót WRON oznaczał Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, a niejaki Albin Siwak należał do tzw. betonu partyjnego w Komitecie Centralnym PZPR".

W 2008 r. Stanisław Zbigniew Kamieński zaprojektował okładkę i zrobił zdjęcia do wydanej przez Miejską Bibliotekę Publiczną książki Bernarda Gotfryda *Widuję ich w snach. Nowe opowiadania*. Książka ta jest nie tylko ciekawym projektem artystycznym, ale także unikalnym obrazem Radomia – narracją o miejscach ważnych dla jej autora i przedwojennej społeczności żydowskiej oraz współczesną fotografią resztek tamtej kultury, tego, co zachowało się w budynkach, ulicach i przestrzeni opuszczonych przez dawnych mieszkańców.

Ostatnie kilkanaście lat, prawie od początku istnienia „Miesięcznika Prowincjonalnego", który ma lat 17 (powstał w 1998), to stała współpraca S.Z. Kamieńskiego z redakcją. Jest filarem redakcji, prowadzi Galerię Prowincjonalną, projektuje okładki, jest autorem zdjęć i wielu tekstów o sztuce i nie tylko, w tym cyklu tekstów o radomskich pomnikach.

W Galerii Prowincjonalnej prof. Kamieński pokazuje zwykle twórczość młodych artystów związanych z Radomiem – wielu z nich to studenci i absolwenci Wydziału Sztuki UTH, choć bywają także galerie związane z ważnym wydarzeniem, jak choćby jubileusz 15-lecia „Miesięcznika Prowincjonalnego" i towarzysząca mu wystawa „15 na 15". Od kilku lat Stanisław Zbigniew Kamieński jest autorem okładek „Miesięcznika". Ostatnio pokazywał pomniki i rzeźby w przestrzeni publicznej Radomia, którym zawsze towarzyszył tekst wewnątrz numeru. Często były to obiekty, o których istnieniu nie wiedzieliśmy, czy nie pamiętaliśmy, choć mijamy je często w drodze do pracy czy szkoły. Z niejasnych dla mnie powodów lokalne symbole nie zadomowiły się w naszej wyobraźni, potrzebujemy obiektywu i komentarza, by wypełnić symboliczne uniwersum Radomia. Prof. Kamieński uważa wprawdzie za naturalne, że zauważamy pomniki w Paryżu czy w Nowym Jorku, że budzą nasze zainteresowanie, podobają nam się, fotografujemy się z nimi i zapamiętujemy, a obojętnie mijamy te znajdujące się najbliżej nas. Z upływem czasu rozważania prof. Kamieńskiego przestały koncentrować się tylko na opisywanym artefakcie, ale dotykały też procesów politycznych, nowych zjawisk społecznych, różnych postaw wobec rzeczywistości. Najciekawszym i najbardziej charakterystycznym w tym nurcie był chyba tekst „Puste miejsce po pomniku na placu w centrum miasta" („MP" nr 6 [141], listopad–grudzień 2013) z towarzyszącą mu fotografią zgeometryzowanego śladu po pomniku Wdzięczności Armii Czerwonej. Teksty i fotografie Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego różnią się od informacyjno-historycznych tekstów i zdjęć o danym wydarzeniu innych autorów. Są zapisem jego odczuć i skojarzeń, a jednocześnie stwarzają nam możliwość współuczestniczenia w tym rozumieniu czy opisie świata. Jeśli zechcemy.

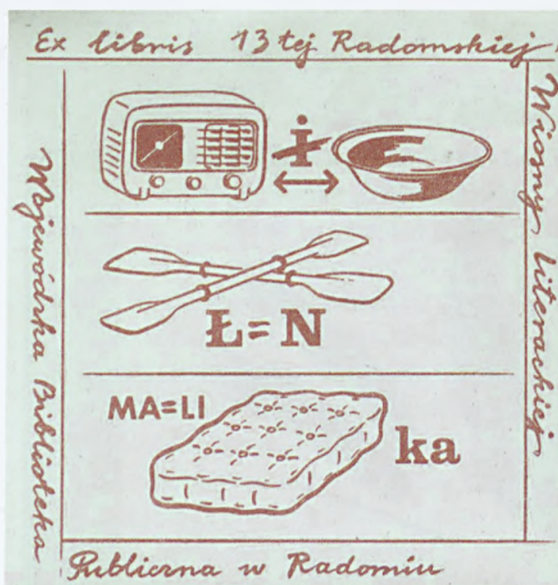
Agata Morgan



„Ex libris 7 Radomskiej Wiosny Literackiej", 1980, 12,4x18,3 cm



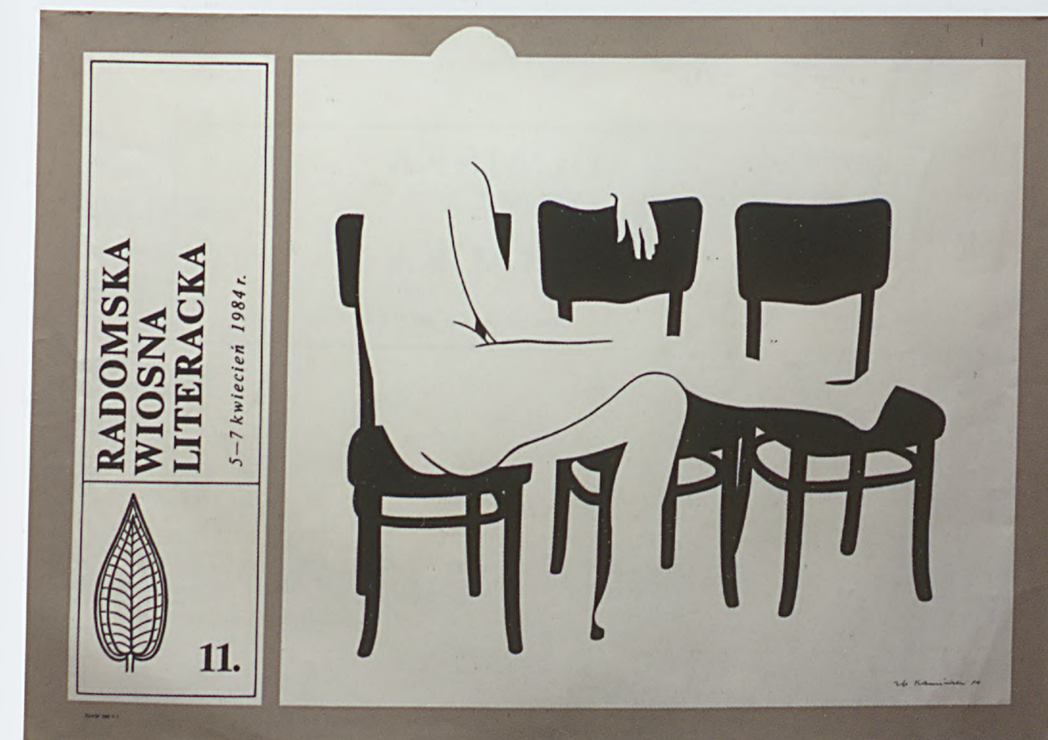




„Ex libris 12 Radomskiej Wiosny Literackiej", 1985, 6,8x8,4 cm

„Ex libris 11 Radomskiej Wiosny Literackiej", 1984, 9x7 cm

„Ex libris 13 Radomskiej Wiosny Literackiej", 1986, 7,7x7,6 cm





Plakat „11 Radomska Wiosna Literacka", 1984, 55x80 cm

Plakat „9 Radomska Wiosna Literacka", 1982, 56,5x99,5cm



Plakat „13 Radomska Wiosna Literacka", 1982, 59,5x80 cm

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Cena 5 zł (w tym 5 % VAT) indeks 351245

Nr 6 (135) Radom listopad-grudzień 2012

Na okładce rzeźba z osiedla Ustronie, 23.11.2012 r., fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Bernard Gotfryd

Widuję ich w snach

Nowe opowiadania

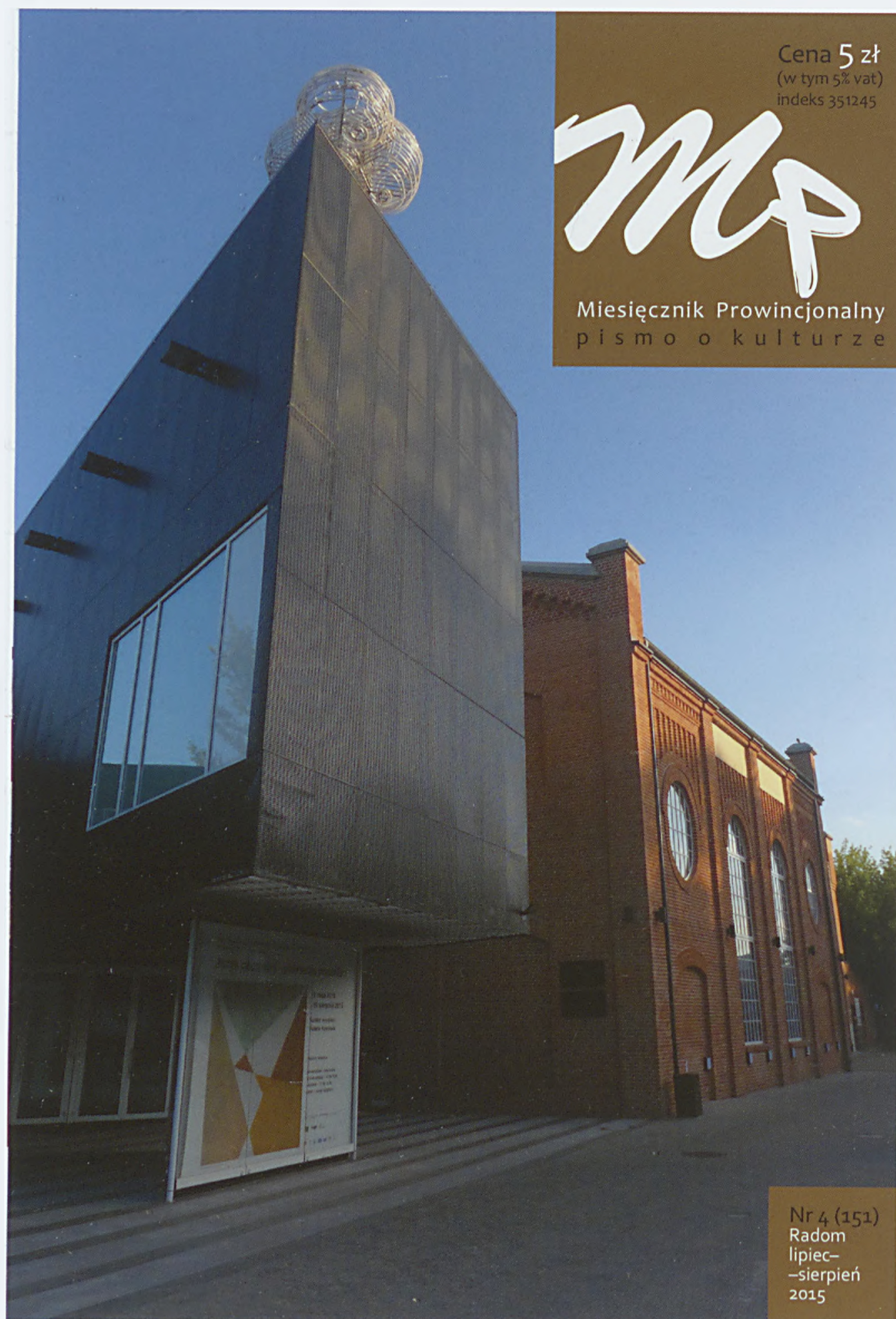
Okładka książki Bernarda *Gotfryda Widuję ich w snach. Nowe opowiadania*, Radom 2008, wyd. Miejskiej Biblioteki Publicznej w Radomiu

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Cena 5 zł (w tym 5 % VAT) indeks 351245

Nr 1 (142) Radom styczeń-luty 2014

Na okładce rzeźba Jerzego Fobera „TY JESTEŚ SKAŁA" przed teatrem w Radomiu, 14.12.2013 r., fot. Stanisław Zbigniew Kamieński – okładka wyróżniona w ogólnopolskim XIII Konkursie na Prasową Okładkę Roku GrandFront 2014



Budynek dawnej elektrowni miejskiej przy ulicy Traugutta po przebudowie (obecnie siedziba Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia"), 03.07.2015 r., fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

A ni ma

Robert Utkowski

W kwietniu 2013 r. w domu aukcyjnym w New Hampshire wystawiono na licytację oryginalny maszynopis opowiadania „Śniadanie u Tiffaniego" Trumana Capote'ego. Jednego z ważniejszych opowiadań w historii amerykańskiej prozy. A może tylko jednego z bardziej znanych, a i to za sprawą filmu o tym samym tytule. Pytanie, na ile dzięki filmowi z 1961 r. znamy opowiadanie z 1958 r.? I odpowiedź – nie znamy prawie wcale. Bo Hollywood rządzi się swoimi prawami. Hollywood poprawił opowiadanie Capote'ego, przeżuł, wymemłał i wypluł w postaci papki nieco bardziej kolorowej, nieco mniej kontrowersyjnej, zatem łatwiej strawnej dla purytańskiego wówczas (i nadal) amerykańskiego społeczeństwa. Poprawił postaci, podszlifował epizody, zmienił zakończenie. I w ten sposób Holly Golightly stała się jedną z ikon kultury amerykańskiej. Bo trzeba poprawiać rzeczywistość, żeby się zmitologizowała. Trzeba poprawiać sztukę, jeśli ma trafić do raczej przeciętnych masowych gustów.

Przejrzałem szybko to, co w radomskiej kulturze działo się w 2015 r. Naprawdę sporo się dzieje. Dziesiątki wydarzeń. Na Żeromskiego w wakacje koncerty, w teatrze na afiszu kilka–kilkanaście sztuk, kilka nowych premier w roku. Raz udanych, raz nie. Coraz więcej wśród nich śpiewanych, tańczonych lub o śpiewaniu i tańczeniu. „Cabaret", teraz „Doris Day", śpiewają w „Niebezpiecznych związkach". W Muzeum im. Jacka Malczewskiego kilka wystaw. W pamięci zostały „Brudne sprawy". „Nikifor" w Muzeum Sztuki Współczesnej. Imprezy cykliczne. Uliczka Tradycji, Dni Radomia. W Orońsku „Fangor". Przygoda z filmem podczas „Kameralnego lata". Bardzo ciekawy „Wielki wybuch sztuki" na Wydziale Sztuki radomskiego uniwersytetu. Wiosna Literacka i Kiermasz Wydawnictw Regionalnych. Mogę nieco mylić nazwy, przepraszam. Więc zebrane w taką wyliczankę, postawione koło siebie, powiedzmy – wrzucone w nieco hollywoodzki scenariusz – te wszystkie rzeczy tworzą całkiem zgrabny, miły dla oka obraz radomskiego życia kulturalnego. Wymienione jednym tchem, okraszone anegdotą mogą sprawiać wrażenie metropolitalności, bogactwa i kulturalnego dobrobytu.

Gorzej, jeśli zajrzymy pod podszewkę. Kolory nagle blakną, światła rampy gasną, postaci tracą magiczną moc. Kiermasz wydawnictw regionalnych. Stanowisk kilkanaście i tyle samo zwiedzających (kupujących). Gdyby jakaś pani nauczycielka nie zlitowała się i nie przyciągnęła grupy młodzieży, to na spotkaniu z laureatami Radomskiej Nagrody Literackiej siedziałoby z pięć osób. Zresztą, drugi dzień targów nieco (nieco) przypominał mi ostatni dzień tegorocznej Wiosny Literackiej, czyli dzień „radomski". Wiem, czego spodziewać się w teatrze; nie jest źle, ale czekam, kiedy teatr naprawdę mnie zaskoczy. I tak samo mam z wieloma innymi wydarzeniami. Niby nie jest źle, ale wciąż czekam, kiedy tak naprawdę zaskoczą mnie czymś nowym. Wiem, ile osób odwiedzi jakikolwiek zorganizowany na Mieście Kazimierzowskim jarmark. Czy to będzie zima, czy lato. Setki. Może małe tysiące. Bez szaleństw. Wiem, ile osób stanie przed sceną podczas spotkań „na Żeromskiego". Małe kilkaset (standardowy koncert), ze dwa tysiące – operetka na zakończenie. Wiedzą to także organizatorzy. Kilkadziesiąt osób na koncertach jazzowych. Może kilkaset na koncertach rockowych. Szacunek dla Radomskiej Orkiestry Kameralnej – za upór i profesjonalizm. Za przywożenie coraz nowych, różnych wykonawców, za uczenie do muzyki. Ale mam też



wrażenie, że uczniowie szkoły muzycznej jeszcze czasem na jakiś koncert zaglądają. W przeciwieństwie do studentów wydziału sztuki, którym chyba wydaje się, że oglądanie tego, co zrobił ktoś inny, nie ma większego sensu. Może i tak. Już nie pamiętam, który to z polskich mistrzów słowa powiedział, że nie czyta nikogo: lepszych od siebie, żeby się nie denerwować, gorszych, bo i po co?

Dlatego, szukając ducha tego miasta, należałoby zadać pytanie, ile osób w ogóle czegoś chce. Może wystarczą kameralne spotkania amatorskich kółek poetyckich, których uczestnicy zazwyczaj bez znieczulenia przeprowadzają operację usunięcia gustu widzów, a banał leje się strumieniami. Wtedy nie są potrzebne w repertuarze teatru ambitne sztuki, bo tych i tak nikt nie zrozumie. Może wystarczą ciche w domach książek czytania, o ile ktoś jeszcze czyta. Wtedy nie będą potrzebne spotkania z twórcami, pisarzami, nie będą potrzebne nagrody dla pisarzy radomskich – tych bowiem nie czytamy w pierwszej kolejności.

Może wystarczą empetrójki puszczane z samochodowego radia na skrzyżowaniu Sienkiewicza i 25 Czerwca, najdłuższa w tej części Europy zmiana świateł. Wówczas nie są potrzebne koncerty jazzowe, cykl „Spotkajmy się na Żeromskiego", można rozwiązać orkiestrę i wydzierżawić salę koncertową.

I może wystarczy hollywoodzka klasyka z Audrey Hepburn w roli głównej, pokazująca, że treść zawsze można zmienić, bo i tak liczy się masowy odbiorca i szczęśliwe zakończenie, do którego właśnie jakoś i ja dobrnąłem.

Robert Utkowski



fot. internet

Obrazy i słowa

Grzegorz Sasin

Lou Andreas Salomé – wamp i muza. Zwodzicielka Nietzschego i Euterpe Rilkego. Uwiodła niemieckiego filozofa intelektem i kobiecym czarem, aby go zniszczyć – tak sądziła siostra Nietzschego. A zatem jako wamp świetnie nadawała się do filmu. I trafiła tam w postaci Dominique Sandy (łudząco do niej podobnej) w filmie Liliany Cavani „Poza dobrem i złem". Nie jest to jednak opowieść o książce tego filozofa, ale o jego utrapieniach z tą córką rosyjskiego generała i żoną czcigodnego szwajcarskiego profesora. Ale trzeba zaznaczyć, że jeżeli sporo można znaleźć materiału „piśmiennego" o życiu Lou i Rainera Marii Rilkego, to o jej relacjach z Nietzschem niewiele wiadomo. Można więc puścić wodze fantazji, co też Cavani uczyniła, gdy z niewielu faktów wysnuła historię o pewnej femme fatale, która wykończyła wielkiego filozofa, doprowadziła go do impotencji i obłędu. Nie mogła inaczej, gdyż ją bardzo interesowały stosunki z Nietzschem, ale tylko intelektualne. Prócz tego doprowadziła przyjaciela Nietzschego, doktora Rée, do rozstroju nerwowego, do sytuacji tragicznej. Skoro nie mógł mieć Lou, jako kobiety, tej jedynej, tak pełnej blasku kobiecości, to mógł zostać tylko gejem i ponieść śmierć z powodu gwałtu dokonanego na nim przez kilkunastu krzepkich górali. Tymczasem obłęd Nietzschego i jego impotencja to wynik nieleczonego syfilisu. Co zaś się tyczy doktora Rée, to udał się na górską wyprawę i zaginął – ciała nigdy nie odnaleziono. Mało to jednak ważne, bo film Cavani jest obrazem dekadenckiego świata „belle epoque", jego smaczków, powabów i ekscesów. Na tym zaś tle opowiada historię kobiety pięknej i inteligentnej – historię feministki (co też nie do końca jest prawdą). Niewątpliwie Lou, jej życiorys, to temat wprost do kina. Tym bardziej że ta nowa w jej czasach sztuka bardzo ją interesowała. Nawet pisywała o swoich wrażeniach filmowych w dzienniku intymnym, np. w roku 1913 zanotowała: Pierwsza myśl dotyczy techniki filmowej, która pozwala wyświetlać obrazy z prędkością bliską ludzkiej wyobraźni i imituje w jakimś sensie jej chaotyczność. Część zmęczenia, któremu zawsze w końcu ulegamy w teatrze, oglądając arcydzieła, nie wynika wcale

ze szlachetnego trudu w odbiorze wrażeń artystycznych, ale z wysiłku, jaki musimy włożyć w dopasowanie się do powolnej sztuczności życia scenicznego; w kinie zaś wolni od tego wysiłku, możemy dać się całkowicie zawładnąć iluzji".[1]

I pomyśleć, że zostało to napisane w 1913 roku! Chociaż należy uwzględnić fakt, że Lou chadzała do solidnego, mieszczańskiego Burgtheater na podniosłe kobyły Lessinga, Schillera, Goethego etc. Teraz mogłaby przepływać z sali teatralnej do kinowej i z powrotem, pełna zachwytu nad teatralnymi ekstrawagancjami – albo zobaczyć jak „robić" teatr w filmie. Weźmy „Rzeź" Polańskiego, według sztuki teatralnej, gdzie kamera likwiduje teatr. Kamera jest zaborcza, podejrzliwa, bezczelna i wnikliwa. Pokazuje niepewność, tupet, strach – ludzkie maski. W końcu obnaża, bo pokazuje to wszystko przez aktorów: mimika, gestykulacja, gradacja słów, mowa ciała. Dlatego też kamera wydziera z aktorów szczerość. Ale ta kamera jest „palcem" reżysera, Polańskiego. To za jego powodem postaci z filmu się obnażają, bo to aktorzy się obnażają! I to świetni: Jodie Foster, John C. Reilly, Kate Winslet, Christoph Waltz. Lou tego nigdy nie zobaczyła, ale to wyczuła na przykładzie dość prymitywnych jeszcze wtedy filmów. Wyczuła, że kino jest niejako tożsame z ustrojem nerwowym, psychicznym człowieka, bo film jest sugestią, mentalnym odpowiednikiem ludzkiej świadomości i podświadomości. Kino to sugestia! I pomyśleć, że dla Einsteina kino to zlepek sztuk, koktajl taki, dla Pasoliniego to po prostu semiotyka, czyli kadr jest takim leksykonem znaków – znaczącym i znaczonym. A przecież, jak mawiał mistrz Jan Himilsbach: „Kino trzeba traktować po prostu, jak życie". I tak też kino traktowała Lou Andreas Salomé.

[1] Cyt. za: P. Szarota, *Wiedeń 1913*, Wydawnictwo Słowo/obraz terytoria, 2013.

W tym samym roku 1913 inny entuzjasta kina Artur Schnitzler pisał w liście do producenta Karla-Ludwiga Schroedera: „W pańskim liście z trzeciego niepokoi mnie, kiedy pisze pan o moim życzeniu, żeby możliwie całkowicie zrezygnować z plansz tekstowych i listów w filmie „Miłostka". Otóż nie możliwie, ale całkowicie; jakikolwiek tekst wiążący obrazy, listy lub plansze do poszczególnych scen w żadnym wypadku nie może się pojawić w filmie. Opracowałem treść sztuki w taki sposób, żeby zrozumiała była wyłącznie na podstawie obrazów. [...] Jestem zdania, że tylko taki film będzie mógł rościć sobie prawo do miana artystycznego, który składa się z samych przez się zrozumiałych obrazów"[2].

Artur Schnitzler, jako dramaturg, uważał, że dialogi nie służą wzajemnej komunikacji, lecz ją unicestwiają: igrając ze słowami (prawda i kłamstwo) wyklucza się uczuciowe zbliżenie. Dlatego też tak zaciekle, jako scenarzysta, walczył o obraz przeciw słowom. Bo to obraz jest odbiciem pragnień, nadziei, złudzeń widza. Film dawał mu możliwość zastosowania swoich koncepcji teatralnych bez ograniczeń sceny, rampy. Być może czuł, że słowo nie ma tej nośności, jaką miało w czasach Sofoklesa, gdyż nie odwołuje się już do czegoś znanego, do mitu i zdarzenia z ateńskiej ulicy. Funkcja słowa się zmieniła, a więc i teatr się zmienił. Ale tak czy owak, Schnitzler chciał poprzez film przekazać to, co niemożliwe jest w teatrze: złudzenie życia. Przez sugestię właśnie – sugestię aktorską, sugestię treści. I filmowcy wzięli się za sztuki Schnitzlera, z różnym skutkiem.

„Miłostki", 1933: fin de siècle, walc, mundury, c.k. armii, słodycz, czar, romantyzm. Miłość i honor. Miłość autentyczna między Christine i podporucznikiem Fritzem, miłość sztuczna, ot miłostka ucięta sobie przez pewną baronową. Intryga, pojedynek, śmierć, dwie śmierci – Christine popełnia samobójstwo. W filmie nie ma wielu słów. Wszelkie odcienie sytuacji mają przekazać aktorzy: oczy ręce, mimika. Nie ma nawet pojedynku, słychać tylko strzał. Właśnie tak miało wyglądać w teatrze, ale nie wyglądało, bo zostało uznane za niezrozumialstwo. Przecież Schnitzler pisał właściwie dla filmu, nie dla teatru, gdzie słowo ma inne znaczenie, inną funkcję. Ale w tym filmie tkwią jeszcze inne smaczki – na przyszłość. Christine gra Maria Schneider, matka Romy Schneider. Barona, męża rogacza, Gustaw Gründgens, bohater „Mefista" Klausa Manna oraz filmu Istvána Szabó. Historia kina w pigułce – bo jeszcze Schnitzler. I sam reżyser, Max Ophüls, legenda zweryfikowana po latach.

[2] Jak wyżej.

Ophüls powrócił do Schnitzlera w roku 1955, gdy zaadaptował do kina jego dramat „Krąg" – bardzo kinowy. Tym razem jednak nie uchwycił istoty dramaturgii austriackiego pisarza, jego dramatycznego korowodu (tytuł oryginalny sztuki), który został napisany na kształt poetyckiego ronda, gdzie epizody zazębiają się, z jednej historii wynika druga, jak w powieści szkatułkowej, a sposób opowiadania jest bardzo precyzyjny, wyrafinowany, wprost dla kina. U Ophülsa jest tylko zachowany pewien narracyjny zrąb, brak natomiast tempa i klarowności – oglądamy nudę. Oglądamy słowa, zamiast słów i obrazów, jak ma to miejsce w ostatnim filmie mistrza Stanleya Kubricka „Oczy szeroko zamknięte" (1999 r.) – też według Schnitzlera, tym razem opowiadania, bo Schnitzler bywał też nowelistą.

Film jest bogaty, wręcz migotliwy, ale akcja jest nikła, wewnętrzna, bo nowele Schnitzlera niewiele się różnią od jego sztuk. Relacjonują to, co wewnątrz człowieka, co w nim chaotyczne, a język maskuje uczucia, co stwarza wielkie pole do popisu dla aktorów – dla grających parę małżeńską Toma Cruise'a i Nicole Kidman. On wreszcie nie skacze, nie strzela, ona jak zwykle gra wszelkimi odcieniami swej sztuki, czyli wybornie. Oni są w centrum, bogata otoczka pozostaje tylko tłem, tzn. nie ma znaczenia. Słowa markują obraz, obraz uwypukla słowa, czyli władzę sprawuje kamera, tj. „palec" Kubricka. Wiedeński pisarz nie może narzekać w zaświatach, a Kubrick pozostaje Kubrickiem. Ta nowela jest jakby senna, film też jest senny, choć przybiera szaty realizmu. Ale to tylko sugestia, bo może jest to sen, może to tylko wyobraźnia. Czy rzeczywiście statki kosmiczne tańczyły walca w „Odysei kosmicznej", czy też tylko Kubrickowi się zdawało, że pokonał kosmiczną pustkę...

Bo Kubrick to obrazy, ale inkrustowane słowami, gdyż wymaga tego dramaturgia gry aktorskiej, montażu, prowadzenia kamery. Słowo bowiem może pełnić funkcję narracyjną, rządzić obrazem (np. „Dziewczyna Piętaszek"), może oddawać stany emocjonalne, prostować narrację (np. filmy Quentina Tarantino), może być samym przekomarzaniem, dialogiem (np. filmy Erica Rohmera), może być puentą (np. filmy Jean-Pierre Melville'a). A wszystkie te filmy są jak ustrój nerwowy człowieka. Są sugestią i propozycją, są kinem, bo jest w nich i chaos, i precyzja, i sztuka, i kicz, czyli jak mawiał Himilsbach: „Film to nie magiel, to dobry obraz plus sytuacja". Intelektualistka z fin de siècle'u i dramatopisarz z Wiednia roku 1913 wyczuli to u samych początków kina. Wszelka zatem teoria sprowadza się do przeczuć Lou, intuicji Schnitzlera oraz trzeźwego spojrzenia Himilsbacha i, być może, poezji w ujęciu Emily Dickinson: „W twarzy niedokładnie widzianej/ urok się mieści./ Dama nie podniesie woalki, / by nie uleciał". I skłania do konstatacji, że teorię kina piszą kamerą filmowcy, np. Stanley Kubrick, gdy uczynią jednością obraz i słowo, jak to rozumiał mistrz Groucho Max, gdy rzucił swojemu oponentowi w „Kaczej zupie": „Co tyle gadasz? Szczepili cię igłą od adapteru?".

Grzegorz Sasin



fot. archiwum MBP

V Radomskie Targi Wydawnictw Regionalnych – pierwszy ważny jubileusz

Ilona Michalska-Masiarz



fot. archiwum MBP

Prezydent Miasta Radomia Radosław Witkowski z laureatami nagrody Ewą Kołodziejczyk i Zbigniewem Kruszyńskim

Jesień. Krótkie dni, niskie temperatury, wiatr i deszcz zniechęcają do wychodzenia na zewnątrz. W takim czasie statystyczny Kowalski najchętniej zaszywa się w domu, przykrywa ciepłym kocem i dodatkowo rozgrzewa aromatyczną herbatką. Aż się prosi, by do ręki wziął książkę. W takim to czasie, raz na dwa lata, spotykają się w Radomiu ludzie, którzy czytanie uważają za coś bardzo atrakcyjnego, by na targach książki zdobyć lekturę na zimowe wieczory. Podobnie było w tym roku. 19 i 20 listopada w siedzibie Radomskiej Orkiestry Kameralnej odbyły się już po raz piąty Radomskie Targi Wydawnictw Regionalnych.

A wszystko zaczęło się w 2007 r., gdy w głowach pasjonatów regionalistów, narodził się pomysł, by zorganizować imprezę, podczas której będzie można zaprezentować i kupić nowości wydawnicze, ale takie specyficzne, wyjątkowe, bo regionalne, tematycznie związane z ziemią radomską. Zadania tego wówczas podjęła się Resursa Obywatelska i tak w październiku owego roku na kiermaszu wydawnictw regionalnych stanęło kilka wydawnictw i instytucji kultury, a czytelnicy mieli także okazję wziąć udział w spotkaniach autorskich.

Pomysł ewoluował, bo dwa lata później narodziła się Nagroda Literacka Miasta Radomia, wymyślona przez Annę Skubisz-Szymanowską, nierozerwalnie związana z dwudniowym świętem książki, zaś w 2011 r. kiermasz, za sprawą pracowników radomskiej książnicy, którzy przejęli organizację imprezy, przerodził się w targi. I to targi nie tylko z nazwy, bo i jakościowo było to już inne wydarzenie. Z dwóch powodów.

Przede wszystkim ich uczestnicy zyskali więcej przestrzeni w gościnnej siedzibie Radomskiej Orkiestry Kameralnej. A przestrzeń ta była rzeczywiście bardzo potrzebna, bowiem do udziału w targach zaproszono wielu wydawców – lokalnych i ogólnopolskich, wszystkich, którzy w swojej ofercie mieli książki związane z Radomiem lub ziemią radomską poprzez tematykę lub osobę twórcy. Wielu z nich z zaproszenia chętnie korzysta, dzięki czemu mieszkańcy Radomia i okolic mają okazję zapoznać się z produkcją wydawniczą ponad 30 wystawców: instytucji, organizacji społecznych czy osób prywatnych.

Po drugie targom towarzyszą dodatkowe atrakcje. I mowa tu nie tylko o spotkaniach autorskich czy o możliwości zdobycia autografu, bo to oczywiste podczas takiej imprezy. Mowa nie tylko o emocjach związanych z wręczeniem Nagrody Literackiej Miasta Radomia. Chodzi także o wystawy plastyczne, spotkania muzyczne, które w ten czas jesienny ubarwiają codzienność.

Dlaczego to takie ważne? Czy rzeczywiście jest się czym ekscytować? Czy w Radomiu targi książki są potrzebne? Cóż, skoro rocznie ukazuje się około 100 publikacji regionalnych, często w małych miejscowościach, często wydawanych przez osoby prywatne, a publikacje te nie są dostępne w księgarniach, to odpowiedź wydaje się oczywista.

Warto w jednym miejscu, w jednym czasie zgromadzić kilkaset tytułów, by w pewien sposób pokazać to bogactwo, a czytelnikom ułatwić dotarcie do małych, niszowych wydawnictw. Tak, warto było w tym roku podczas jubileuszowych targów wziąć udział w spotkaniach z lokalnymi twórcami: pisarzami Grzegorzem Bartosem i Jarosławem Rabendą, bajkopisarzami Zenonem Gierałą i Wojciechem Krupą, poetami Wandą Chodorowską, Janem Czarneckim i Adrianem Szarym, regionalistami, historykami i publicystami Krystyną Barańską, Cezarym Imańskim, Krzysztofem Busse czy autorami związanymi z Muzeum Wsi Radomskiej i uczestniczyć w wernisażu wystawy prof. Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego (dobrze znanego czytelnikom „Miesięcznika Prowincjonalnego") i wraz z nim świętować 40-lecie pracy twórczej. Tak, warto było czekać, by znów

usłyszeć te dwa nazwiska: autorów najważniejszych, najlepszych, najciekawszych książek wydanych przez ostatnie dwa lata – zdobywców Nagrody Literackiej Miasta Radomia. A zostali nimi Ewa Kołodziejczyk za książkę *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza* (w kategorii książka naukowa/popularnonaukowa) oraz Zbigniew Kruszyński za powieść *Kurator* (w kategorii książka literacka).

I jeszcze jedno „tak, warto było"... Warto było opuścić na chwilę własne zacisze, by zanurzyć się w dźwiękach muzyki i piosenki poetyckiej w wykonaniu zespołu Wyspy Dobrej Nadziei. Bo wszystko to razem stanowiło doskonały balsam na jesienną chandrę.

Ilona Michalska-Masiarz

Z Ewą Kołodziejczyk
rozmawiała Ilona Michalska-Masiarz

Jak doszło do powstania książki *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza*?
Tę książkę chciałam napisać, gdy zaczęłam intensywniej czytać Miłosza, czyli już w czasie studiów polonistycznych. Wtedy uważałam jednak, że do Miłosza trzeba dojrzeć lekturowo i życiowo. Dlatego powróciłam do niego po doktoracie z myślą, że amerykańskie losy noblisty będą tematem mojej rozprawy habilitacyjnej. Materiały do książki zaczęłam zbierać w 2009 r. W 2011 r. Narodowe Centrum Nauki wsparło mnie grantem na badania. Przełomowy charakter miały w nich stypendia w Stanach Zjednoczonych: w archiwum Czesława Miłosza w Yale w 2011 r. oraz na Uniwersytecie Columbia w 2013 r. Tam zyskałam dostęp do rękopisów poety oraz do źródeł książkowych, które były ważne dla Miłosza w latach 40. Książkę ukończyłam latem 2014 r., a cały następny rok pochłonęła praca nad jej wydaniem w Instytucie Badań Literackich PAN.

Prof. Bagłajewski podczas spotkania z Tobą i Zbigniewem Kruszyńskim, podkreślając, że jesteś absolwentką Uniwersytetu Jagiellońskiego, zadał pytanie, jak można uprawiać humanistykę w Radomiu. Twoja odpowiedź bardzo mnie zaciekawiła i chciałabym, abyś odpowiedziała na nie także dla czytelników „Miesięcznika Prowincjonalnego".
Pierwszą książkę o poezji *Czechowicz – najwyżej piękno*, która była publikacją mojej rozprawy doktorskiej, także napisałam w Radomiu. Powstała ona pod opieką profesora Mariana Stali, promotora mojego magisterium o Miłoszu. Pan profesor Stala dawał bardzo wiele swobody i niezależności wszystkim swoim podopiecznym, wymagając od nich zarazem odpowiedzialności za każde słowo. To sprawiło, że bardzo szybko stałam się samodzielna, przekonałam się też, że mogę prowadzić pracę naukową w każdym miejscu. Robiłabym to samo i tak samo w Krakowie, Radomiu, Warszawie, Nowym Jorku, ponieważ czytanie i pisanie integrują się na bardzo głębokim poziomie świadomości, niezależnym od miejsca zamieszkania. Wiadomo, że humanistyka nie ma adresu. Oczywiście, książki naukowe zawsze powstają w pewnym otoczeniu, mają pewien wymiar środowiskowy. Ale utrzymuję kontakty z polonistami w Krakowie oraz literaturoznawcami z Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie, także ze slawistami amerykańskimi, więc nie czuję się ograniczona tym, że mieszkam w Radomiu. Wiem, że *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza* prezentowano już na targach książki w Filadelfii. Choć poruszam się tu w naukowym offie, mam bliskie grono humanistów, dla których to co robię jest ciekawe i cenne, a okazuje się też, że budzi zainteresowanie w innych kręgach.


fot. archiwum MBP

Czym dla Ciebie jest fakt otrzymania Nagrody Literackiej Miasta Radomia?
Bardzo miłą niespodzianką i, rzecz jasna, znaczącym wyróżnieniem. Napisanie tej książki spełniło moje największe zawodowe marzenie, więc było dla mnie nagrodą – jeśli teraz doceniają ją czytelnicy, trudno o większą satysfakcję. Cieszę się, że *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza* zostało dostrzeżone w moim rodzinnym mieście, tu, gdzie powstało. To dobry i ważny sygnał dla humanistów, którzy pracują w Radomiu w domowym zaciszu, mając nadzieję, że robią coś, co zaciekawi czytelników w kraju i na świecie.



fot. archiwum MBP

Ze Zbigniewem Kruszyńskim rozmawiała Ilona Michalska-Masiarz

Powtórzę za prof. Arkadiuszem Bagłajewskim pytanie, które zadał podczas spotkania z tegorocznymi laureatami Nagrody Literackiej Miasta Radomia. Jest to pytanie o radomskość. Radom jest nie tylko miejscem Pana urodzenia, ale jest też obecny w Pana twórczości. Jak bardzo jest dla Pana ważny?

Nie jestem pewien, czy istnieje coś takiego jak radomskość. A jeśli już, to czy nie jest definiowana raczej pejoratywnie? Dla mnie Radom jest chyba najważniejszym miastem w życiu, ponieważ tu się urodziłem i mieszkałem do matury w 1976 r. Ale na pewno jest trochę odrealniony – mityczny, nostalgiczny? To jest zarówno moja carte du tendre, jak i mapa wstydu, której fragmentaryczna kartografia trafiła także do *Kuratora*. Jest ważny, bardzo ważny, choć nie tak ważny, jak bym chciał. Powieści bardziej radomskie są chyba jeszcze przede mną.

Jest Pan laureatem wielu nagród, np. czasopisma „Brulion", Fundacji Kultury, Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek czy Poznańskiej Nagrody Literackiej im. Adama Mickiewicza, zasiada Pan także w kapitule Nagrody Literackiej Gdynia. Jak z tej perspektywy ocenia Pan Nagrodę Literacką Miasta Radomia? Czym dla Pana jest fakt przyznania tej nagrody?

Kibicuję, a nawet więcej: partycypuję jakoś w tej nagrodzie od co najmniej czterech lat. Najpierw dostałem ją i nie dostałem jednocześnie za *Ostatni raport*. Potem, przed dwoma laty, uczestniczyłem w pracach jury (i odkryłem kilku świetnych pisarzy, np. nagrodzonego Michała Sobola, wspaniałego poetę, nominowanego potem także do Gdyni i Nagrody Szymborskiej). Właściwie powinna obowiązywać mnie jakaś paroletnia karencja, ale ponieważ jury się zmieniło, uznałem, że mnie nie obowiązuje. Można się tylko cieszyć, że Radom ma teraz dwie solidne nagrody literackie: tę i nową Nagrodę im. Gombrowicza za debiut prozatorski. Życzę im jak najlepiej. Będzie co czytać.

A gdyby tak poszukać i tego dzieciaka?

Marta Wiktoria Trojanowska

Wygląda na to, że już jest po wszystkim. Zwalony z cokołu, uderzył w tył głowy. Leży teraz w nienaturalnej (nawet dla pomnika) pozycji, wydany na pastwę spojrzeń. Nie słychać echa uderzenaia o bruk, wypłoszone hukiem ptaki schowały się w drzewach.

Na pewno już po wszystkim. Na fotografii nie widać niemieckich oprawców. Ludzie, którzy zaglądają żołnierzowi w martwe oczy z brązu, wyglądają nawet nie tyle na świadków zdarzenia, co na tych, którzy przyszli na miejsce po fakcie. Stoją zgrupowani, z rękami opartymi o boki – typowa reakcja na coś, co nie mieści się w głowie. Wśród nich dzieci. Widzę kilkuletnią dziewczynkę w jasnej sukieneczce. Dwóch chłopców wdrapało się odważnie na podstawę cokołu. Patrzą z góry na pomnik. Jeden, jak inni radomianie, z rękami opartymi na bokach, drugi pochyla głowę. Patrzą Z GÓRY na pomnik, który dopiero co stał, dopiero co bawili się w berka dookoła cokołu, od drzewa do drzewa.

Jest kwiecień 1940 r. Taką datę podają źródła. Musiało być ciepło – dziewczynka jest w sukience i białych skarpetkach, pozostali mają bluzki z krótkimi rękawami, spodenki chłopców też krótkie. Godzina? Widać zegar na wieży ratusza, ale nie można rozpoznać ułożenia wskazówek. Mogło to być jednak późne popołudnie, bo choć ostre słońce, to cienie wydają się długie.

To zdjęcie... tyle na nim treści, tyle emocji zastygłych w gestach, ułożeniu ciał, niewidocznych spojrzeniach... I ten chłopiec. Ten chłopiec w spodenkach na szelkach i skarpetkach podciągniętych pod same kolana. To nie na leżącym pomniku Legionisty zatrzymuję swój wzrok, ale właśnie na nim. Patrzy prosto w obiektyw. Ręce dumnie schowane w kieszeniach. Łobuziak. Przechylił głowę i z zainteresowaniem spogląda na robiącego mu zdjęcie, odwrócony – jako jedyny – tyłem do żołnierza.

Mam go ochotę zapytać, skąd się tutaj wziął? Przyszedł, jak inni radomianie, zobaczyć okrutne dzieło zniszczenia, i odwrócił się przypadkowo właśnie w momencie, gdy ktoś robił zdjęcie? A może znalazł się tu razem z fotografem, który specjalnie ustawił go na tle pomnika? Nie, to niemożliwe – to nie były czasy „słit foci" na tle zagłady, to nie dzisiejsze wojny i dzisiejsze zdjęcia, za które wystawią nam jeszcze rachunek następne pokolenia. Nie, na pewno fotograf nie ustawił go specjalnie, chociaż to odważne spojrzenie i miejsce, które na zawsze wypełnił sobą na tej fotografii, wydają się nieprzypadkowe...

*

Fotografia dokumentująca zniszczenie pomnika Legionisty przez niemieckiego okupanta funkcjonuje zapewne w świadomości wielu radomian – zamieszczana jest bowiem często w regionalnych wydawnictwach. Warto zwrócić uwagę, że w opisie zdjęcia brakuje nazwiska autora (co akurat szczególnie nie dziwi), widnieje natomiast nazwisko Jerzego Halla – autora reprodukcji. Ten radomski, nieżyjący już dziś fotografik (pracownik Młodzieżowego Domu Kultury) nie był świadkiem okrutnych wydarzeń na radomskim Rynku. Dotarł do Radomia już po wojnie. Miał jednak wielką pasję, która ocaliła od zapomnienia i tę fotografię. Robił fotograficzne reprodukcje waż-



fot. archiwum autorki

nych i ciekawych zdjęć, które potem nie tylko pokazywał młodym adeptom fotografii na zajęciach prowadzonych w MDK-u, ale i udostępniał regionalnym wydawnictwom (między innymi czasopismu „Radomir"), popularyzując je i ocalając. Dziś część jego dorobku fotograficznego (głównie wspomniane reprodukcje) oraz notatki znajdują się w posiadaniu Ewy i Remigiusza Kutyłów, wśród nich także negatyw kopii opisywanego zdjęcia. To dzięki temu można było wykonać dokładną cyfrową reprodukcję, którą teraz oglądam centymetr po centymetrze. I wciąż zatrzymuję się na postaci chłopca w spodenkach na szelkach i białych skarpetkach naciągniętych pod same kolana...

Na oko ma nie więcej niż dziesięć lat. Gdyby żył, miałby... 85 lat. A może, może... żyje jeszcze? Może mógłby rozwiązać zagadkę fotografii; powiedzieć, co robił na radomskim Rynku i dlaczego odwrócił się tak pewnie, z rękami w kieszeniach, do kogoś, kto zdążył wykonać to zdjęcie. Trudno go odnaleźć? To nie jest niemożliwe. Skoro znalazł się nawet chłopiec z rękami podniesionymi do góry, ten z najbardziej znanej fotografii dokumentującej likwidację warszawskiego getta... Skoro szukają dziewczynki z fotografii, tej w za dużych butach, która rok po wojnie przyglądała się z dachu budynku ruinom Warszawy, i wierzą, że znajdą, bo mają pierwsze ślady... Skoro wciąż identyfikują małych powstańców na starych fotografiach... Więc gdyby tak poszukać i tego dzieciaka... I tego chłopczyka z rękami w kieszeniach, który na chwilę odwrócił się od zwalonego z cokołu pomnika żołnierza, i tak już obaj zostali na zawsze. Co by nam powiedział? Co pamięta z tamtego kwietniowego popołudnia? Osądziłby siebie i swoją tam obecność, czy okrutne czasy? Bo może to właśnie one – dzieci ze starych fotografii, dzieci, które znalazły się w centrum wydarzeń, powinny móc się odnaleźć i osądzić historię. ONE, nie my, współcześni... Na nas przyjdzie jeszcze czas, tylko nie jestem pewna, czy ktokolwiek będzie chciał nas szukać...

Marta Wiktoria Trojanowska

Cenotaf z Jasieńca

Jerzy Kutkowski

Miejscowości o nazwie Jasieniec jest kilka na radomskiej ziemi. Tym razem interesuje nas Jasieniec Solecki, 10 km za Zwoleniem w kierunku na Lipsko. Drogę do Zwolenia zna każdy, tak jak każdy zna związanego ze Zwoleniem i tą okolicą poetę Jana Kochanowskiego. Na Zwoleń i jego zabytki trzeba zarezerwować osobny dzień, my natomiast jedziemy drogą krajową nr 79 w kierunku Lipska. Po pięciu kilometrach przejeżdżamy przez Sycynę (Północną), miejsce urodzenia Jana Kochanowskiego (1530), po prawej stronie mijamy pomnik, po lewej w oddali zauważamy słynną kolumnową kapliczkę z wyrytą datą 1621, wzniesioną dla upamiętnienia udziału Mikołaja Kochanowskiego w bitwie pod Chocimiem. Od roku 1525 wieś Sycyna, zakupiona przez Piotra Kochanowskiego, należała do rodziny Kochanowskich, tak jak należała prawie cała ziemia zwoleńska do końca XVII w. Za Sycyną skręcamy w lewo do Jasieńca, następnie kierujemy się w prawo w stronę kościoła, mijamy cmentarz i zatrzymujemy na wygodnym parkingu przed kościołem. Jesteśmy u celu.

Jasieniec Solecki ma niezwykle bogatą historię. Wieś powstała w XVI w., założona równolegle z Tymienicą przez braci Tymińskich herbu Nałęcz, znacznego rodu ziemi radomskiej i sandomierskiej. Na przełomie wieków XVI i XVII Jasieniec należał do poborcy podatkowego Wszebora Tymińskiego (zm. 1617), którego ślady znajdziemy także w kościele oo. Bernardynów w Radomiu. Po lewej stronie prezbiterium radomskiego kościoła umieszczono wczesnobarokowe marmurowe epitafium, które przedstawia Wszebora Tymińskiego jako rycerza w zbroi. Zmarły był bratem Katarzyny, żony Mikołaja Kochanowskiego z Sycyny (brata Jana).

W Jasieńcu Soleckim, w okolicach obecnej plebanii, Tymińscy wybudowali drewniany pałac. Był tu dobry dostęp do wody ze stawu zasilanego źródełkiem, założono więc okazały park i stawy rybne. Na wschodnich obrzeżach parku znajdowały się czworaki i budynki gospodarcze folwarku, do naszych czasów przetrwał jedynie piętrowy spichlerz z XIX w., niestety mocno zniszczony. W 1630 r. Jan Kochanowski, syn Andrzeja z Baryczy, odkupił część Jasieńca od synów Rafała Tymińskiego. Ów Jan Kochanowski był fundatorem kaplicy Kochanowskich przy kościele farnym w Radomiu. Następnym właścicielem Jasieńca został Marcin Chomętowski, prawnuk Andrzeja Kochanowskiego, który brał udział w wyprawach wojennych Jana III Sobieskiego, co otworzyło mu drogę do zaszczytów i godności. W 1694 r. został wojewodą mazowieckim. Ufundował kolegium oo. Jezuitów w Samborze. Zmarł w Łucku w 1706 r. Jego syn Stanisław przejął urząd wojewody i posiadłości po ojcu, a w roku 1696 otrzymał starostwo grodowe radomskie, potem zwoleńskie i trzy inne. Walczył też ze Szwedami, a był bardziej zaciekły niż hetmani Lubomirski i Sieniawski i wsławił się odwagą w wielu bitwach. Podróżował także jako poseł do Turcji, odbył podróż do Rzymu z audiencją u papieża, przebywał w Padwie, był u cara Piotra I w sprawie zwrotu Inflant. Został hetmanem polnym koronnym. Wyposażył sanktuarium w nieodległym Wysokim Kole, a w Jasieńcu wybudował nowy drewniany pałac. Zmarł w wieku 55 lat w Samborze. Pod koniec XVIII w. dobra w Jasieńcu stały się własnością Ignacego Przeben-

dowskiego herbu Kuna (1730–1791) z Pomorza, który otrzymał je od Stanisława Augusta Poniatowskiego wraz ze starostwem soleckim i małopolskim. Przebendowski był członkiem Komisji Edukacji Narodowej i poczmistrzem generalnym. Po potopie szwedzkim odbudował zamek w Solcu n. Wisłą. Żona Przebendowskiego Felicyta była spokrewniona z rodem Czartoryskich z Puław. Przebendowscy mieli jedną córkę Mariannę, dla której Jasieniec był posagiem ślubnym. Jej mężem i jednocześnie kolejnym właścicielem majątku został Tadeusz Matuszewicz herbu Łabędź z Podlasia, właściciel wielu dóbr w Wielkopolsce i Małopolsce. Matuszewicz był aktywnym politykiem związany z Adamem Jerzym Czartoryskim, posłem na Sejm Czteroletni, współtwórcą Konstytucji 3 maja, znakomitym erudytą i uczestnikiem insurekcji kościuszkowskiej. W czasach Księstwa Warszawskiego pełnił funkcję ministra skarbu. Po rezygnacji ze stanowiska zamieszkał w Jasieńcu, gdzie przeżył z Marianną najszczęśliwsze lata, zajmując się tym, co lubił najbardziej: pisaniem i tłumaczeniem dzieł Wergiliusza, Delilla i Horacego. Przetłumaczył także *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis. Odznaczono go Orderem Orła Białego i Orderem Świętego Stanisława. Ze związku z Marianną narodziło się im dwóch synów (Adam i Seweryn) oraz córka Zofia, niestety Marianna zmarła w wieku 34 lat i dla niej wybudowano tytułowy cenotaf.

Aby go zobaczyć, z parkingu idziemy na wschód i za dzwonnicą skręcamy w lewo, by ścieżką biegnącą pośród wspaniałego starodrzewu dotrzeć do południowego skraju parku. Tu właśnie znajduje się unikalna atrakcja turystyczna – cenotaf (*cenotafio*), symboliczny grobowiec, który był już znany w starożytnym Egipcie, Grecji i Rzymie. W czasach nowożytnych spotyka się cenotafy świętych, postaci historycznych. Oryginalną formą cenotafu są krakowskie kopce: Kraka, Wandy, Kościuszki i Piłsudskiego. Swoje cenotafy mają m.in.: Michał Anioł w Rzymie (pochowany we Florencji), Dante Alighieri we Florencji (pochowany w Rawennie), Jan Tarło, Michał Kazimierz Ogiński, św. Jan Paweł II w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. W czasach współczesnych cenotafami są symboliczne groby nieznanego żołnierza.

Cenotaf w Jasieńcu Soleckim usytuowany jest na wysokim kopcu i okolony fosą wypełnioną wodą. Symboliczny grobowiec ma kształt sarkofagu, prostopadłościanu z dwuspadowym daszkiem i ozdobnymi narożnikami. Wybudował go ku czci swej zmarłej żony Tadeusz Matuszewicz w 1800 r., choć Marianna z Przebendowskich Matuszkiewiczowa została pochowana rok wcześniej w kościele oo. Reformatów w Solcu n. Wisłą.

Na bokach jasienieckiego sarkofagu umieszczono cztery marmurowe tablice, które są świadectwem wielkiej miłości.

Tablica tytułowa informuje:

MARYANNIE Z PRZEBENDOWSKICH, MATUSZEWICOWEY, NAYLEPSZEY ŻONIE, TADEUSZ MATUSZEWIC, MĄŻ STRAPIONY, CZCI, WDZIĘCZNOŚCI I ŻALU, PAMIĄTKĘ POŁOŻYŁ R. 1800 SIERPNIA D. 15. S.

Kolejna tablica to przepojone bólem miłosne wyznanie:

JEY CZUŁEMU PRZYWIĄZANIU, ŁAGODNEJ CNOCIE, I NIEZMIENNEY SŁODYCZY WINIENEM, ŻEM SKOSZTOWAŁ ROZKOSZY NAYCZYSTSZEY, KTÓRĄ ŚCISŁY TYLKO ZGODNYCH SERC ZWIĄZEK DAIE UCZUĆ. JEY WINIENEM, ŻE O SZCZĘŚCIU, JAKIE ZNALEŹĆ SIĘ MOŻE NA ZIEMI, Z DOŚWIADCZENIA SĄDZIĆ MOGĘ – I LUBO W CIĄGU ŻYCIA MOIEGO, NIE IEDNĄ DROGĄ STRATĘ OPŁAKIWAĆ, NIE IEDNO SROGIE NIESZCZĘŚCIE WYTRZYMAĆ MI PRZYSZŁO, JEY DOPIERO UTRATA DAŁA POZNAĆ DUSZY MOIEY, CAŁĄ OSTROŚĆ BOLEŚCI, CAŁĄ GORYCZ SMUTKU, I CAŁĄ TRUDNOŚĆ ZNOSZENIA PODOBNEGO CIOSU CIERPLIWOŚCIĄ I MĘSTWEM.


fot. Jerzy Kutkowski

Obok cenotafu znajduje się duży polny kamień, na którym wyryte są słowa w stylu żalów Orfeusza:

KOIĄC RZEWNĄ TĘSKNOTĘ SŁODKICH LUTNI BRZMIENIEM SAMI W TEY USTRONI TKLIWEM ZAKLĘTY WSPOMNIENIEM, CZY MROK UŚPIŁ NATURĘ, CZY IĄ ŚWIAT OCUCIŁ, CIEBIE, KOCHANA ŻONO, CIEBIEM ZAWSZE NUCIŁ.

Obok kamienna ławeczka, miejsce kontemplacji.

Wśród miejscowej ludności powtarzana jest z pokolenia na pokolenie legenda o podziemnym korytarzu poprowadzonym pomiędzy dworem a pomnikiem. Pomimo zachowanych śladów tunelu jest to raczej fantazja. Pomysł wybudowania tak niecodziennego pomnika mógł się zrodzić tylko u kogoś nieprzytomnie zakochanego. Matuszewicz poznał Mariannę w Puławach u Czartoryskich i zakochał się od pierwszego wejrzenia w pięknej filigranowej blondynce z poczuciem humoru, o sercu otwartym i wielkiej inteligencji. Ona odwzajemniła jego uczucia i żyli szczęśliwie we wspaniałym pałacu w Jasieńcu, niestety, tylko dziewięć lat. Marianna chorowała na gruźlicę i mimo starań najlepszych lekarzy i wyjazdów do uzdrowisk zmarła młodo. Po śmierci żony Matuszewicz poświęcił się tylko literaturze i często odwiedzał poświęcony żonie cenotaf. „Pomimo upływu dwudziestu lat od jej śmierci, nie spędził dnia w Jasieńcu, w którym by pobożność jego nie zaniosła przy tym grobowcu modłów za wieczne szczęście tej, która mu go na tym świecie zakosztować dała. Takie było serce Matuszewicza. Niedawno, gdy ujęty smętnym urokiem miejsca i pomnika nad nimi dumałem, rzekł do mnie rozczulony Matuszewicz, przytulając rękę moją do serca: Tu jej pomnik prawdziwy" – napisał Stanisław Kostka Potocki (1725–1821), przyjaciel i częsty gość Matuszewicza. Symboliczny grobowiec niszczał za przyczyną upływu lat i burzliwej historii, przetaczających się frontów, a zaginięcie trzech tablic z inskrypcjami spowodowało, że stał się anonimowy. Nikt już nie pamiętał, komu był poświęcony i kto go wybudował. Dopiero w 2009 r. Władysław Bara Kapciak znalazł treści owych tablic w *Opisach różnych okolic Królestwa Polskiego* autorstwa Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, która Jasieniec odwiedziła w 1826 r. Wspominała ona także o pałacu z bogatą biblioteką, wypełnionym pięknymi obrazami. Pałac niestety spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1866 r. Dzięki funduszom unijnym i dotacji gminy Zwoleń cenotaf został z wielką starannością zrekonstruowany i wpisany do rejestru zabytków w 2011 r.

Po powrocie na parking warto zwrócić uwagę na kościół parafialny. Budowę przypałacowej kaplicy w kształcie rotundy rozpoczął Tadeusz Matuszewicz, a ukończył w 1821 r. jego syn, hrabia Adam. Projektantem był Christian Piotr Aigner, nadworny architekt Czartoryskich, autor wielu budowli w Puławach. Syn Tadeusza Matuszewicza Adam wskutek zamiłowania do hazardu stracił majątek. Jasieniec stał się wówczas własnością urzędnika carskiego, gubernatora Kalisza, gen. Piotra Szabelskiego (1796–1874). Gospodarował tu jego syn Iwan, który w odprawianych w kaplicy nabożeństwach dopatrzył się krzewienia polskości wśród mieszkańców. Jasieniecka kaplica była zagrożona wyburzeniem, ale Rosjanin przeniósł się wkrótce do Zwolenia, gdzie zmienił się i był inicjatorem wielu służących mieszkańcom przedsięwzięć. Po 100 latach kaplica stała się kościołem parafialnym, jednak jako kościół służący wiernym z kilku okolicznych wsi okazała się zbyt ciasna. Powołano Komitet Budowy Kościoła, który z datków parafian sfinansował plan rozbudowy kościoła. Do pierwotnej rotundy, po rozebraniu ściany ołtarzowej, rozpoczęto dobudowywanie trzech naw na planie krzyża greckiego, według projektu Zygmunta Gawlika. Jednak czas zakończenia budowy ciągle się wydłużał, najpierw z powodu kryzysu światowego, biedy, potem wojny


fot. Jerzy Kutkowski

i utrudnień ze strony władz komunistycznych. W roku 1957 kościół został wpisany do rejestru zabytków. W skromnym wnętrzu kościoła uwagę zwraca obraz w prezbiterium i polichromia wykonana w 1956 r. przez malarzy z Gdańska. W prezbiterium w kaplicy obraz był inny niż obecny. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa tak o nim pisała: „Obraz piękny i wielki wystawia Zbawiciela modlącego się w Ogrójcu; prawdziwy anioł w ludzką postać odziany nie mógłby mieć miększych włosów, łagodniejszej twarzy od tego, co z Nieba ku niemu zstępuje. Obraz ten sprowadzony z Drezna kilkaset dukatów miał kosztować". Obecnie w centrum prezbiterium wisi nowszy obraz, co ciekawe, ufundowany w 1899 r. przez wroga kaplicy prawosławnego Iwana Szabelskiego. Obraz przedstawia Niepokalane Poczęcie NMP i jest kreatywną kopią obrazu Murilla ze zmienioną w stosunku do oryginału kolorystyką. Autorem jest artysta malarz Zygmunt Beck.

Warto odwiedzić Jasieniec Solecki. Tak blisko Radomia, a tyle nieznanych zabytków z bogatej historii tej niepozornej wsi. W drodze powrotnej można jeszcze zwiedzić miejscowy cmentarz.

Przy pisaniu artykułu korzystałem z książki Władysława Bara Kapciaka *Jasieniec Solecki, fakty i ludzie*.

Jerzy Kutkowski
15 listopada 2015 r.


fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Wojciech Fangor i jego obrazy w Radomiu

Mieczysław Szewczuk

25 października 2015 r. zmarł Wojciech Fangor (rocznik 1922). Zabrakło kilku tygodni, by dożył 93. urodzin. Dziś coraz powszechniejsza staje się opinia, że to jeden z najwybitniejszych polskich artystów współczesnych. Malarz o racjonalnym podejściu do własnego dzieła, przez całe życie poszukiwał nowych rozwiązań. Jeden z twórców polskiej szkoły plakatu i autor nowatorskich malarskich instalacji przestrzennych – w 1958 r. stworzył w Warszawie przy współpracy Stanisława Zamecznika „Studium przestrzeni" uważane za pierwsze na świecie environment. W 1961 r. wyjechał z Polski. Tworzył obrazy, które były realizacją idei „pozytywnej przestrzeni iluzyjnej" (powstawał efekt silnego pulsowania w kierunku widza). Prace z tego okresu znalazły się w wielu muzeach amerykańskich i europejskich, teraz w Polsce na aukcjach biją rekordy cen. Zawsze niezależny, porzucił model obrazu, który przyniósł mu sukces, interesowały go już inne problemy. W „Obrazach telewizyjnych" wykorzystał swoje odkrycia z zakresu fizjologii widzenia, by zastanawiać się nad współczesną cywilizacją.

Tak się złożyło, że po powrocie do Polski był związany z radomskim muzeum, Radomiem i regionem. W 1990 r., jeszcze mieszkając w Santa Fe w Stanach Zjednoczonych, Wojciech Fangor przesłał na wystawę w warszawskiej Zachęcie, zorganizowaną pod hasłem „50 lat malarstwa", kolekcję obrazów i rysunków – i 109 prac zdecydował się podarować Polsce. Chciał, by znalazły się w jednym miejscu, zaakceptował propozycję umieszczenia ich w radomskim Muzeum Okręgowym, które miało tworzyć muzeum sztuki emigracyjnej. Skrzynie z obrazami przywieziono do Radomia jako depozyt. W 1994 r. Muzeum Okręgowe w Radomiu zorganizowało wystawę prezentującą kolekcję prac Fangora, sam autor uczestniczył w jej aranżacji (razem z synem Stanisława Zamecznika Piotrem, mieszkającym w Norwegii). Muzeum Sztuki Współczesnej pokazywało później tę kolekcję w Lublinie i Chełmie (1995), a w 1996 r., z okazji jubileuszu pięciolecia – wszystkie rysunki. Poza tym pojedyncze obrazy prezentowane były w Radomiu na corocznych wystawach własnej kolekcji muzeum. Kiedy w 1999 r. artysta wrócił na stałe do Polski i zamieszkał w Błędowie koło Grójca, wiadomo już było, że muzeum sztuki emigracyjnej nie powstanie w Radomiu. Ministerstwo wycofało swoje poparcie dla tej idei – Wojciech Fangor zdecydował się wycofać depozyt. Podarował jednak radomskiemu muzeum dziesięć obrazów z różnych okresów twórczości, w tym trzy z indywidualnej wystawy w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku w 1970 r. (w 1971 pokazywanej też w Berkeley w Kalifornii, gdzie inaugurowała działalność Uniwersyteckiego Muzeum Sztuki). Dwa największe mają długość ponad 6 i 5 m. Obrazy te były wypożyczane na kilka wielkich wystaw, m.in. w 2012 r. na dużą retrospektywną wystawę Fangora z okazji 90. urodzin w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Ważna była jeszcze jedna jego wystawa w Radomiu. W kwietniu 2002 r. Wojciech Fangor pokazał w galerii Rogatka obrazy z cyklu „Krzesła" (z lat 90.), razem ze stojącymi przed nimi na podestach modelami, czyli prawdziwymi krzesłami. Ta instalacja skłaniała do pytań, co jest rzeczywistością, a co jej obrazem. Paradoksalnie – obraz wydawał się bardziej rzeczywisty od swojego modela. W czerwcu tamtego roku Muzeum Sztuki Współczesnej organizowało, wspólnie z artystą, jego wystawę na 80-lecie w BWA w Katowicach. Kuratorami byli Mieczysław Szewczuk i Stanisław Zbigniew Kamieński razem z autorką książki *Fangor – malarz przestrzeni*, krytykiem sztuki Bożeną Kowalską.

Delegacja Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu i radomscy przyjaciele uczestniczyli 3 listopada w pogrzebie Wojciecha Fangora na Wojskowych Powązkach – w ten sposób jeszcze raz dziękując za wspaniały dar dla Radomia.

Mieczysław Szewczuk

KRONIKA
październik-listopad 2015

Iłża

21.10.2015. W galerii Domu Kultury otwarto wystawę fotografii zatytułowaną „W barwach jesieni...". Pokazano na niej ponad 50 prac członków Starachowickiego Towarzystwa Fotograficznego.

22.11.2015. Julia Dudek ze Starachowic i zespół Konterfekt ze Stąporkowa zdobyli ex aequo pierwsze miejsce w XXIII Ogólnopolskich Spotkaniach z Balladą. Gwiazdą koncertu finałowego był duet Cotton Cat. Imprezę zorganizował Dom Kultury.

Kozienice

7.10.2015. W obecności władz wojewódzkich i samorządu lokalnego odbyło się uroczyste otwarcie Centrum Kulturalno-Artystycznego. Od 8 października rozpoczęły się dni otwarte w Centrum, podczas których każdy zainteresowany mógł obejrzeć wnętrza nowej placówki kultury i uczestniczyć w organizowanych imprezach.

23.10.2015. W głównej sali koncertowo-kinowej Centrum Kulturalno-Artystycznego zainaugurowało działalność kino w Kozienicach.

27.11.2015. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tomasza Mikockiego otwarta została wystawa „Naszej chaty niskie progi".

Orońsko

18.10.2015. Odbył się uroczysty finisaż najważniejszej tegorocznej wystawy zorganizowanej przez Centrum Rzeźby Polskiej. Poświęcona była życiu i twórczości Józefa Brandta, dawnego właściciela posiadłości, w której obecnie ma swoją siedzibę Centrum.

7.11.2015. W Centrum Rzeźby Polskiej zorganizowano trzy nowe wystawy. W Muzeum Rzeźby Współczesnej odbył się wernisaż wystawy „Wojciech Fangor. 3 wymiary retrospektywa", w galeriach „Kaplica" i „Kameralna" zaprezentowano „Nowe dzieła w kolekcji Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku", zaś w galerii „Monumentalnej" można było oglądać poplenerową wystawę „Ogólnopolska Płaszczyzna Współpracy Akademickiej 2015. Edycja 1: Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku, Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu, Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie".

Radom

2.10.2015. W Teatrze Powszechnym nowa premiera dla najmłodszych widzów. „Baśń o dzielnym Radomirze" Marty Gumowskiej wyreżyserował Marek Zákostelecký.

2.10.2015. Miejski Ośrodek Kultury „Amfiteatr" uroczyście obchodził jubileusz 35-lecia działalności.

2.10.2015. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" otwarta została wystawa „Czekalska + Golec. 69% Cruelty Free".

2.10.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii wystąpił zespół Projekt Volodia. Podczas koncertu muzycy wykonali piosenki Włodzimierza Wysockiego oraz utwory własne.

3.10.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę Nieformalnej Grupy Artystów Skład Doczepiony.

4.10.2015. Muzeum Wsi Radomskiej zorganizowało tradycyjną jesienną imprezę poświęconą wykopkom. Z okazji Festiwalu Ziemniaka skansen odwiedziły tysiące zwiedzających.

4–11.10.2015. Atrakcyjne spotkania, wystawy i koncerty odbyły się w ramach organizowanego po raz kolejny Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. Na zakończenie Tygodnia w radomskiej katedrze wykonana została Msza Nelsońska Josepha Haydna. Wystąpiła Radomska Orkiestra Kameralna, Monika Świostek (sopran), Anna Lubońska (mezzosopran), Rafał Majzner (tenor), Sebastian Szumski (baryton).

5.10.2015. W Zespole Szkół Muzycznych odbyła się promocja drugiej części albumu „Na pamiątkę... Radomianie na starych fotografiach". Wydawnictwo, którego autorami są Jerzy Kutkowski, Marcin Kępa, Elżbieta Kwiecień, Piotr Rogólski, zostało sfinansowane przez radę miejską i przeznaczone do bezpłatnego rozdawania.

8.10.2015. W Domu Kultury „Idalin" otwarto wystawę akwareli Hanny Ozimek.

9.10.2015. Wernisaż wystawy pod bardzo długim tytułem – „Leszek Kwiatkowski. Rysować różne światy. Wystawa rysunków z różnych lat, przygotowana z okazji jubileuszu 40 lat pracy twórczej artysty" – odbył się w Muzeum Sztuki Współczesnej.

16–21.10.2015. „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria oraz Towarzystwo Polsko-Austriackie Oddział w Radomiu to organizatory jubileuszowych XX Dni Austrii. Impreza rozpoczęła się wernisażem wystawy „Gustaw Klimt – prekursor modernizmu". W programie były też koncerty, prelekcje, wystawa fotografii.

16–30.10.2015. „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria po raz 14. zorganizowała Radomski Festiwal Jazzowy. Imprezę zainaugurował koncert zespołu Michała Strobla Doppelganger Project. Po nim odbyło się widowisko muzyczne „Usłyszeć taniec", łączące w sobie elementy flamenco, muzyki irlandzkiej i jazzu.

17.10.2015. W Zespole Szkół Muzycznych odbyła się aukcja charytatywna prac artystów plastyków związanych z Radomiem na rzecz dwójki chorych dzieci. Aukcję zorganizowali: Stowarzyszenie Środowisko Inicjatywa, Caritas Diecezji Radomskiej oraz Jan Szczepan Kutkowski z okazji 45. lat pracy twórczej i 65. urodzin Jerzego Bogdana Kutkowskiego. Podczas spotkania wystąpił Zespół Akordeonistów z radomskiej szkoły muzycznej.

22–25.10.2015. Fundacja Ars Antiqua Radomiensis po raz 19. zorganizowała Międzynarodowy Festiwal Muzyki Dawnej im. Mikołaja z Radomia. Koncerty odbywały się w kilku radomskich kościołach oraz w „Łaźni".

23.10.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę malarstwa na tkaninie – batiku z pracowni Małgorzaty Strzelec Wydziału Sztuki UTH w Radomiu.

24.10.2015. W kościele pw. św. Rafała Chór Miasta Radomia Sancti Casimiri Cantores Radomienses dał uroczysty koncert z okazji jubileuszu 30-lecia swego istnienia.

25.10.2015. Na scenie Radomskiej Orkiestry Kameralnej gościnnie wystąpił zespół Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie. Artyści zaprezentowali widowisko „Cud, czyli Krakowiaki i Górale", przygotowane z okazji jubileuszu 250-lecia polskiego teatru publicznego.

29.10.2015. W Księgarni Literackiej im. Witolda Gombrowicza odbyła się promocja książki Izabeli Krasińskiej *Życie kulturalne w miastach i miasteczkach guberni radomskiej w latach 1864–1914*, wydanej przez Radomskie Towarzystwo Naukowe.

30.10.2015. Związek Polskich Artystów Plastyków Okręg Radomski zorganizował 25. wystawę prac swoich członków oraz zaproszonych gości. Wernisaż odbył się w „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Traugutta.

6.11.2015. Janusz Zagrodzki był kuratorem wystawy „Galeria Krzywe Koło (1956–1965). Prace na papierze". Wystawa zorganizowana została w Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia".

11.11.2015. Uroczyste obchody Święta Niepodległości odbyły się na radomskim Rynku. Zakończył je koncert kameralny „Richard Strauss – Mieczysław Karłowicz" w Zespole Szkół Muzycznych. Wystąpili: Jadwiga Rappe – alt, kwartet polski Deutsche Oper Berlin oraz Mariusz Rutkowski – fortepian, Leszek Sokołowski – kontrabas.

12.11.2015. Archiwum Państwowe zorganizowało kolejną interesującą wystawę dotyczącą historii miasta i jego mieszkańców „Życie w czasach Wielkiej Wojny. Codzienność mieszkańców Radomia i okolic w latach I wojny światowej".

13.11.2015. Zespół Cezariusz Gadzina Quartet, w którym grają jedni z najlepszych muzyków jazzowych w Polsce, wystąpił w MOK „Amfiteatr".

14.11.2015. Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na koncert „Petersburskie noce". Na akordeonie i bandoneonie zagrał Klaudiusz Baran. Orkiestrę poprowadził Igor Verbitski, jeden z najbardziej cenionych obecnie dyrygentów rosyjskich.

19.11.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii zorganizowano spotkanie z Uładzimirem Niaklajewem – białoruskim poetą, prozaikiem i działaczem społeczno-politycznym. W 2010 r. był głównym kandydatem opozycji na urząd prezydenta Białorusi.

19–20.11.2015. Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała V Radomskie Targi Wydawnictw Regionalnych. Swój dorobek z ostatnich dwóch lat zaprezentowali wszyscy wydawcy z Radomia i okolic oraz kilka oficyn wydawniczych z Krakowa, Warszawy, Lublina – razem 34 wydawców. Odbyło się też wiele spotkań z radomskimi literatami, można było uzyskać autografy twórców. Po raz czwarty wręczono Nagrodę Literacką Miasta Radomia. Laureatami zostali: Zbigniew Kruszyński za powieść *Kurator* w kategorii książka literacka i Ewa Kołodziejczyk za *Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza* w kategorii książka naukowa/popularnonaukowa. Targom towarzyszyła wystawa rysunku Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego „40 autoportretów na XL lat pracy" zorganizowana z okazji jubileuszu.

20.11.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Żeromskiego zorganizowano wystawę fotografii Stanisława Gąsiora z okazji jubileuszu 50-lecia pracy twórczej.

21.11.2015. Projekt „Queen symfonicznie" zagościł w Radomiu. W sali Radomskiej Orkiestry Kameralnej koncertowała orkiestra Alla Vienne i chór Vivid Singers. Zaprezentowali wybrane utwory z dyskografii zespołu Queen w symfonicznej aranżacji.

21.11.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii rozpoczęły się Dni Lwowa. Otworzył je koncert krakowskiego zespołu Chawira. W kolejnych dniach można było wysłuchać wykładów o historii Lwowa i Kresów Wschodnich.

26–27.11.2015. Staraniem Katedry Filologii Polskiej UTH, Miejskiej Biblioteki Publicznej i Radomskiego Towarzystwa Naukowego odbyła się dwudniowa ogólnopolska konferencja naukowa „Stefan Żeromski i Władysław Reymont czytani dzisiaj. W 90. rocznicę śmierci pisarzy". Obradowano na Wydziale Filologiczno-Pedagogicznym UTH oraz w głównej siedzibie biblioteki miejskiej.

27.11.2015. Koncertem galowym w Zespole Szkół Muzycznych zakończyły się obchody 90-lecia szkolnictwa muzycznego w Radomiu. Były też medale i wyróżnienia od władz samorządowych miasta i województwa dla nauczycieli oraz stypendia dla uzdolnionych uczniów.

29.11.2015. W Czytelni Kawy odbył się koncert zespołu Slalom w składzie: Bartłomiej Tyciński, Bartosz Weber, Hubert Zemler.

30.11.2015. Rozpoczął się „(Termo)Modernistyczny Tydzień z Resursą, czyli... Wielkie otwarcie po remoncie albo czym Resursa bogata...". Zaprezentowano dorobek grup wokalnych, teatralnych i tanecznych działających w OKiS „Resursa Obywatelska".

Wsola

18.10.2015. „Trzeba marzyć... nawet jesienią" – koncert pod takim tytułem odbył się w Muzeum Witolda Gombrowicza. Wykonawcami byli: Janusz Strobel, Andrzej Jagodziński i Anna Stankiewicz. Wykonali piosenki z tekstami Jonasza Kofty i Jana Wołka.



Ciepło psów i esencja, niepoznana, psiości.
A jednak czujemy ją. W wywieszeniu mokrego języka,
W melancholijnym aksamicie oczu,
W zapachu sierści, innym niż nasz a pokrewnym.
Człowieczość nasza wtedy wyraźnieje,
Wspólna, pulsująca, liżąca, włochata,
Choć dla psów to my jesteśmy jak bogowie
Znikający w kryształowych pałacach rozumu,
Niezrozumiałym działaniem zajęci

fragment wiersza Czesława Miłosza „Świadomość"

Życzymy Państwu miłych, pogodnych Świąt Bożego Narodzenia w otoczeniu rodziny i domowych zwierząt, które, jak wierzymy, przemówią wówczas ludzkim głosem. Czy zapewnią nas, że nowy rok 2016 będzie dobry, szczęśliwy?

redakcja „Miesięcznika Prowincjonalnego"

Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw



Uwaga dobry pies. Radom, Zamłynie 2015 r.